OPŁATĘ POCZTOWĄ UISZCZONO RYCZAŁTEM

Cena 50 gr.

REDAKCJA: LWÓW, JAKÓBA STRZEMIĘ 8

Październik 1936

WYDAJEMY WE LWOWIE
22 NUMER PISMA

Sygnały

miesięcznik • sprawy społeczne • literatura • sztuka • — •

LEON KRUCZKOWSKI

BOGDALSKI ŻYJE...

(Fragment powieści p. t. „Sidła")

Do golenia służyło lustro jesionowej toaletki, sprzęt, ustawiony w drugim, obszernym pokoju. W lustrze odbijał się poranny nieład dwojga niezasłanych łóżek, skromny kilimek nad łóżkami, oraz zadarta wgórę, obficie namydlona twarz Bogdalskiego. Trzydniowy zarost chrzęścił pod stalowem ostrzem.

Na podgardlu chrzest był głośniejszy, twardszy. Od grdyki ku brodzie nożyk jakgdyby miał do pokonania szczególniejszy jakiś opór. Ckliwy dreszcz przejął Bogdalskiego. Odrazu przypominał się nieboszczyk Roman Klich — jego ohydne samobójstwo, brzytwą dokonane. Na jedno mgnienie myśli dojrzał Bogdalski w swych oczach, odbitych w lustrze, zimny błysk nagłego lęku, zaczajony w zwężonych źrenicach. Wyobraził sobie mdły szelest ostrza, wchodzącego w napiętą, nagą skórę, tuż ponad grdyką — jak w masło.

— cóż, Klichowi groziła śmierć głodowa, podczas gdy ja...

Nie dokończył tej zbawczej myśli. Krótki brzęk dzwonka żgnął ciszę i rozprysnął się w mieszkaniu.

Oczywiście, Koziakowa. Bogdalski, nie spiesząc się, pozbierał resztę piany z szyji i podbródka, palcami delikatnie przesunął po twarzy, poczem, złożywszy niklowany swój instrument na przygotowanym kawałku gazety, powoli udał się do przedpokoju.

Otworzył. Koziakowa, z torbą ceratową, pełną wiktuałów, mruknęła zwykłe „dzień dobry" i prosto poszła do kuchenki. Wionęła za nią woń kopru i białego sera.

Bogdalski umył się w ciasnej łazience i wrócił do lustra. Kończył wycierać się ręcznikiem. Czuł nagły przypływ świeżości i energji, jak zwykle po goleniu. Z zadowoleniem przyglądał się odbiciu gładkiej, zarumienionej ożywczo twarzy. Szybsze krążenie krwi dawało znać o sobie w całem ciele. Ochoczo sięgnął po grzebień.

Posługaczka weszła do pokoju. Bez słowa położyła na stole świstek papieru i trochę drobnej monety.

— Niech Koziakowa się pośpieszy... — rzucił Bogdalski od lustra, z grzebieniem we włosach. — Za kwadrans wychodzę!

Brzmiało to niby odniechcenia, ale końcowe „wychodzę" podkreślił jakimś dobitnym akcentem ważności. W gruncie rzeczy, to przynaglenie posługaczki było bezsensowne. Mógł wyjść równie dobrze za godzinę, czy za dwie — lub nawet nie wychodzić wcale. Poprostu: wzmożone samopoczucie. Ów przypływ energji po goleniu podniecił go, jak zastrzyk.

— dobrze, proszę pana! — odrzekła kobieta, wychodząc. I zaraz ją tam usłyszał, w kuchence, dzwoniącą hałaśliwie naczyniami.

Sam zaś podszedł do stołu, usiadł, wysunął szufladę i wyjął z niej cienki kajecik. Otworzył w miejscu, gdzie między kartkami tkwił ołówek.

Były buchalter Zakładów Ceramicznych E. G. Weltz S. A. z wielką skrupulatnością prowadził rachunki domowe — i to nikłe, bądź co bądź, zajęcie było poniekąd od trzech lat jedynym przejawem jego działalności zawodowej. Przeliczył niklowe drobniaki, biegle zsumował cyfry, nagryzmolone na świstku Koziakowej, poczem datę i kwotę zapisał w odpowiednich rubrykach kajetu:

16. VIII. Życie — zł. 3,20

„Życie", jako pozycja budżetowa, znaczyło: mięso, nabiał, włoszczyzna, owoce. Nie miało w sobie nic patetycznego. „Życie", kupowane detajlicznie za trzy lub cztery złote na dobę, sprowadza się do faktu ekonomicznego, doniośliejszego niż biologja. Przykładem — ten nieszczęsny Roman Klich, który spowodu braku dziennej porcji niklu poderżnął się brzytwą. Do licha! Trudno bardziej spostponować „prawdy ostateczne", takie właśnie, jak ż y c i e i ś m i e r ć.

Mięso, nabiał, włoszczyzna, owoce.

Dla Bogdalskiego proceder „rachunkowości domowej" miał sens szczególny, o wiele znaczniejszy, niżby to wynikać mogło z jego suchej i — niewątpliwie — monotonnej treści. Dawniej, za dobrych czasów, małżonkowie Bogdalscy obywali się doskonale bez przysłowiowego „ołówka w ręce". Gdy jednak przed trzema laty, wskutek pamiętnej wielkiej redukcji pracowników w firmie E. G. Weltz S. A., podstawa egzystencji młodego stadła zwęziła się do samej tylko pensji pani Janki — buchalter Bogdalski natychmiast sprawił kajet za dwadzieścia groszy i zajął się niezmiernie skrupulatnem zliczaniem dziennych ekspensów. Czynił to pedantycznie, z powagą zawodowca, ale zarazem z głębokiem przejęciem, niemal z żarliwością — i w ciągu trzech lat zdołał już zapełnić dwa kajety. W swem położeniu — położeniu człowieka, który z bieżących nurtów życia zepchnięty został w jego stojącą, zamkniętą odnogę — skłonny był właśnie w tych suchych, z dnia na dzień notowanych sumiennie zapiskach widzieć świadectwo przebiegu, d z i a n i a s i ę, przepływu egzystencji. Liczby, któremi operował, nie przedstawiały się imponująco, były jednak, bądź co bądź, pewnym swoistym pulsem, układem ruchomym w zatoce nieruchomości.

Były — ponadto — wykładnikiem stosunków ze światem. Nie mógł Bogdalski od trzech lat narzekać na uciążliwy nadmiar tych stosunków. Z kółeczka w maszynerji społecznej stał się ziarenkiem piasku w tejże maszynerji. Przestał zazębiać się, lecz b y ł (i z tej przyczyny coś zgrzytało w maszynerji). Biologicznie istniał, dzięki szczęśliwej okoliczności, tej mianowicie, że Janka...

Ziarnko piasku, jeśli jest ludzkim osobnikiem, żywi się tak zwanemi „produktami": mięsem, nabiałem, włoszczyzną. Oto jedyny kontakt z produkcją, możliwy dla człowieka, wyłączonego z urządzeń produkcji. Oto, dlaczego kajet z „rachunkowością domową" miał w świadomości bezrobotnego Bogdalskiego sens szczególny i doniosły, a jego monotonnie powtarzające się pozycje — charakter węzłów ze światem.

Sens szczególny i doniosły miały też wszelkie, najzwyklejsze, proste sprawy, jakie Bogdalski musiał niekiedy załatwiać „na mieście": płacenie rachunku w biurze elektrowni, zakup węgla w składzie na przystani, nawet rzadkie wypadki styczności z urzędem pocztowym. Dawniej się to liczyło do utrapień, do przykrych, mimochodem uskuteczniających drobnostek życiowych. Obecnie, każdy akt tego rodzaju był ważny i skwapliwie traktowany; określał krokom cel i czasowi miarę, ożywiał zmysły, budził świadomość własnej roli, galwanizował energję, włączał k o n t a k t y s p o ł e c z n e. „Ziarno piasku" miewało swoje doraźne, krótkotrwałe poczucia „zazębień", gdy Bogdalski powiadał, naprzykład:

— trzebaby pójść, zażądać, aby przysłali montera —

Albo dobitniej:

— muszę dzisiaj załatwić ten rachunek!

Takie „muszę", a zwłaszcza „załatwić", zwyczajne słowa, miały w sobie ładunek emocji, godny nieprzeciętnego działacza. Aktywizowały czas i przestrzeń, umysł i wolę. Nie trzeba burzy, aby poruszyć kałużę; wystarczy rzucić kamyczek.

Tego dnia jednak nie było nic do „załatwienia". Bogdalski sam nie zdawał sobie sprawy, czemu ni stąd ni zowąd przynaglił Koziakową do pośpiechu dobitną zapowiedzią — „za kwadrans wychodzę"? I owszem, wyjść zamierzał, ale na zwykłą przechadzkę „zdrowotną", bez celu. Sam nie wiedział, skąd mu się naraz wzięła dzisiaj tamta, bezsensowna ważność głosu —? Poprostu, nastrój wewnętrzny, z niewiadomego wszczęty źródła (samopoczucie po goleniu?). Miewał Bogdalski czasem takie dni, a raczej przedpołudnia, kiedy — po dobrze przespanej nocy — czuł w sobie jakiś tajny, nieokreślony optymizm. Niby nic, zwyczajnie sobie łaził, płatał się po mieszkaniu, wystawał nieruchomo przed oknami — a gdzieś w zaułku świadomości doznawał mdłej i ciepłej, jak delikatny dreszcz mrowiącej się otuchy. Było to przyjemnie dolegliwe. Krążyło ledwo wyczuwalną kroplą w sercu, w całem ciele — —

W takim nastroju myśli Bogdalskiego skłaniały się ku rozważaniu roli p r z y p a d k u w ludzkiem życiu. W takim nastroju widok dostrzeżonego przez okno listonosza wzniecał mistyczny wstrząs w całej istocie ex-buchaltera. Któż wie, co może kryć się w skórzanej torbie listonosza?! Bywają w życiu niespodzianki, bywają wprost c u d o w n e niespodzianki... Irracjonalizm jest całą mądrością ludzi, zdeptanych przez siły, których nie nauczyli się r o z u m i e ć, albo z któremi nie nauczyli się w a l c z y ć. Oczywiście, listonosz przechodził, lecz w jego torbie nie było nic dla Bogdalskiego.

Tedy więc nie z zasadnej konieczności lub potrzeby, ale właśnie w irracjonalnem poczuciu fluidów wewnętrznych nakazał dziś Bogdalski pośpiech posługaczce Koziakowej. Teraz, złożywszy do szuflady kajet „rachunkowości domowej", z pewnem ożywczem podnieceniem kończył się ubierać. Długo i starannie wiązał krawat — —

W kwadrans później gotów był do wyjścia. W kapeluszu na głowie, zajrzał do kuchni.

— już, proszę pana, — od stołu mruknęła Koziakowa — tylko tu marchwi dokroję...

W aluminjowych naczyniach narządzała do obiadu, według poleceń, wydanych rano przez „panią". Czerwone plasterki marchwi z pluskiem padały w wodę, której sądzonem było wkrótce stać się zupą.. Obok, na małej desce, leżały płaty kotletów, gotowe do kąpieli w rozpalonym tłuszczu. Janka, wróciwszy z biura, miała dokończyć zabiegów „na gazie".

Bogdalski spojrzał na zegarek. Rzecz prosta, ze sprzątaniem zdąży się w południe. Janka wraca dopiero o trzeciej, a Koziakowa i tak spieszyć musi na drugą jeszcze obsługę, do jednego z mieszkań „numeru 20-go". Zwykle około pierwszej kończyła tamtą i wracała ponaz wtóry do Bogdalskich.

— będę przed pierwszą spowrotem! — oznajmił jej, gdy wreszcie zabrała się z kuchenki. Puścił ją przodem, poczem sam wyszedł i, zatrzasnąwszy drzwi za sobą, dwukrotnie przekręcił klucz w zamku.

Schodami wstępowały wgórę dwie kobiety. Starsza, tęga i siwowłosa, w zrudziałym wełnianym szlafroku, z pękiem kluczy w ręce, szła przodem, ciężko człapiąc sukiennemi pantoflami. Mętne, chytro-dobroduszne oczka czujnie mrugały w fałdach otyłej, jakby z lepkiego chlebowego ciasta urobionej twarzy. O dwa stopnie niżej postępowała, niemłoda również, babina w łachmanach; dysząc i sapiąc, mozolnie dźwigała dwa blaszane kubły, pełne węgla. Jej wykrzywione ohydnie, zbyt duże, męskie buciory na gołych i brudnych nogach stukały brzydko po kamiennych schodach. Bogdalski, przechodząc mimo, dojrzał tam nad kubłami chude, kościste ręce, pokryte sino nabrzmiałemi postronkami żył. Nieznacznie uchylił kapelusza; idąca przodem paniusia skwapliwie odpowiedziała mu skinieniem głowy — „dzień dobry panu!", pozdrowiła z pokornym, przywołanym pośpiesznie uśmiechem.

Sąsiadka Openheim, wdowa po oficerze straży pożarnej, nie miała stałej posługaczki. W razie potrzeby przeto używała żebrzących nędzarek. Co kilka dni, zależnie od pory roku częściej lub rzadziej, przygodna postać w łachmanach dźwigała dla niej kubły węgla z piwnicy na trzecie piętro. Oczywiście, wzamian za jałmużnę. Dwa kubły węgla — dwa grosze, oraz kilka starych numerów katolicko-narodowego pisemka, przeznaczonego głównie dla zwalczania komunizmu. Sąsiadka Openheim uprawiała „filantropję pozytywną"...

STANISŁAW SALZMAN

OBLICZE SPOŁECZNE SŁOWACKIEGO

Piękne, lecz krótkotrwałe było pozagrobowe zwycięstwo Słowackiego nad zabójczą obojętnością społeczeństwa, wspaniały, lecz przemijający był tryumf ducha wiecznego rewolucjonisty nad „kolorowym ułanem" rzeczywistości polskiej. Historja kultu genjalnego twórcy „Króla Ducha" jest w syntetycznym skrócie historją owych głębokich przemian ideowych, jakim uległ w przebiegu rozwojowym naród, który z etapu rewolucji i walki wszedł w okres utrwalania zdobyczy zwycięstwa, który po „burzach i błyskaniach", po heroicznej walce wyzwoleńczo-narodowej przystąpił do trzeźwego, realnego budownictwa własnego bytu państwowego. Niezrozumiana za życia twórcy przez szlacheckie rzesze czytelnicze, stała się poezja Słowackiego w podziemiach konspiracji rewolucyjnej, sztandarem walki bohaterskiej narodu z przemocą obcą i rodzimą a na powierzchni życia wciągała w czarowny krąg swego kunsztu, swego wyrazu i piękna pokolenie inteligencji, które poznało całą szarzyznę, nicość i płytkość pozytywizmu, nowej religji zwycięskiego, bogacącego się gorączkowo mieszczaństwa i z najgłębszej odrazy do filisterstwa kapitalistycznego stanęło na stanowisku zdecydowanie aspołecznem.

POETA WALKI

Dla Polski, walczącej o wolność i niepodległość pod sztandarami Polskiej Partji Socjalistycznej i w Legjonach, był Słowacki ucieleśnieniem najszlachetniejszych dążeń rewolucyjnych demokracji polskiej z pierwszej połowy XIX wieku, która zmagać się musiała nietylko z przemożnemi siłami zaborców, ale i ze zdradziecką magnaterją, prowadzącą w dalszym ciągu politykę Targowicy, politykę kompromisowości i trójlojalizmu za cenę uratowania przywilejów klasowych i feodalnego stanu posiadania. Do walki o niepodległość Ojczyzny stanął proletarjat i masy ludu wiejskiego. Hrabia Henryk nie miał czasu myśleć o Polsce Niepodległej, bo zajęty był bądźto obroną klasowych Okopów św. Trójcy, bądźteż leczył stargane nerwy i zbolałą nieszczęściem narodowem duszę w zagranicznych badach i kurortach. Mieszczaństwo, którego interesy zespolone były ściśle z rynkami zbytu państw zaborczych, nie pragnęło zmiany i na bojowników wolności patrzyło jak na szaleńców. Lud więc, tylko lud był motorem walki, a Tyrteuszem jej stał się Słowacki. Wszak on to potępił w „Hymnie" naród, gdzie czczą „zardzewiałe korony" i przeciwstawił mu dumnie rewolucyjną wolę mas ludowych:

> Wam się chylić przed obcemi
> Nam we własnych ufać siłach...
>
> Do broni bracia! Do broni!
> Oto ludu zmartwychwstanie,
> Z ciemnej pognębienia toni,
> Z popiołów Feniks nowy
> Powstał lud — błogosław Panie!...
> Bogarodzico! Dziewico!
> Słuchaj nas Matko Boża,
> To ojców naszych śpiew,
> Wolności błyszczy zorza,
> Wolności bije dzwon
> I wolnych płynie krew...

Wszak on to poddał w „Kuligu" druzgocącej krytyce kwietyzm szlachty, która w dobie walki narodowej, myśli wyłącznie o swych prywatnych, osobniczych sprawach. Nurt ideowy „Kordjana", wypływający z romantycznej koncepcji misji dziejowej jednostki, znajdował swe ujście i jakby urzeczywistnienie w terorze indywidualnym, w tej niezawodnej napozór metodzie spisku i zamachu, przy pomocy której legjony Czarowiców i Danów spodziewały się zniszczyć potęgę caratu. W oczach bojowców polskich z roku 1905 — ściślej mówiąc, oświeconej elity bojowej, rekrutującej się z warstw inteligencji drobnoszlacheckiej i mieszczańskiej — nabierała rumieńców i życia wizja rewolucji z Anhellego:

> „Oto zmartwychwstają narody! Oto z trupów są bruki miast! Oto lud przeważa. Nad krwawemi rzekami i na krużgankach pałacowych stoją bladzi królowie, trzymając szaty na piersiach szkarłatne, aby zakryć pierś przed kulą świszczącą i przed wichrem zemsty ludzkiej".

Czyż wreszcie wiersz „Do Autora Trzech Psalmów" nie był najgenjalniejszym wyrazem poetyckim tej aktualnej polemiki, jaką prowadzili niepodległościowcy z oportunizmem feudalno-mieszczańskim, głoszącym cierpliwość i ugodę, wierzącym, że „cnotą na szą — znieść niewolę?"

KAPŁAN SZTUKI

Niemniej przemożne było wodzostwo Słowackiego w rewolucji artystycznej, którą propagowała Młoda Polska. Nawiązywała ona z dumą do mistycznego subjektywizmu wielkiego poety, do ekspresjonistycznej deformacji świata w jego liryce i dramacie z okresu „schyłkowego" — a równocześnie dominanta ideowa jego twórczości była dla niej potwierdzeniem słuszności ataku na rozwielmożnione kołtuństwo, zaśniedziałość i prymitywny „materjalizm" sytego mieszczaństwa. Cyganerja młodopolska widziała w Słowackim prekursora tych wszystkich tendencyj i ideałów artystycznych, które były jednym wielkim buntem przeciw próbom zutylitaryzowania Sztuki (koniecznie przez duże S) gwoli dobremu trawieniu mieszczaństwa oraz przeciw t. zw. zdrowemu rozsądkowi. A właśnie Słowacki był predewszystkiem artystą — „Kapłanem Sztuki", który swoje Credo zaczynał od stwierdzenia:

> A naprzód ten rym, co drwi i przeklina
> Ma polityczne credo; jest to sfera
> Dantejska. Wierzę sercem poganina
> W rym szekspirowski, w Danta i w Homera.

Niczego zaś tak bardzo nienawidził Słowacki jak filisterstwa, przyziemności i tzw. trzeźwego rozsądku:

> Wielcyśmy byli i śmiesznimy byli
> Bośmy się duchem Bożym tak popili
> Że nam pogórza, ojczyste grobowce,
> Przy dźwięku fletni skakały jak owce
> A górom onym skaczącym na głowie
> Stali olbrzymy — miecza aniołowie.
>
> Teraz jesteśmy z ducha wytrzeźwieni
> Bracia rozumni — czciciele pieczeni...
> W głowach się nie ćmi, jak pierwej słonecznie,
> Fletnie nie grają, mogiły śpią wiecznie,
> Czas nas zgodzony z ziemi zegarami
> Stoim i śpiemy... a świat śpi pod nami.

METAMORFOZY INDYWIDUALIZMU

Istniały jeszcze i inne, głębszej natury związki między Młodą Polską a Słowackim. Poeci młodopolscy, którzy doprowadzili przeciwstawność jednostki i społeczeństwa do ostatecznej skrajności, stali na stanowisku aspołecznem i indywidualistycznem. Unikali z reguły aktualnych problematów politycznych, a kiedy zajmowali się niemi, to dochodzili przeważnie do konsekwencyj reakcyjnych. Konflikt artysty z „motłochem" czy „trzodą" był tylko fragmentem zatargu jednostki wielkiej, genjusza Czynu ze zbiorowością i podważał fundamentalne zasady teoretyczne demokracji. Ów skrajny indywidualizm, będąc zjawiskiem specyficznem dla końca XIX i początków XX stulecia, stanowił zarazem jakgdyby nawrót do indywidualizmu epoki romantycznej. Jakież były jego historyczne podstawy? Pierwszy dał na to odpowiedź socjalizm utopijny, zarówno francuski jak i polski. Bazard, jeden z najznakomitszych uczniów Saint Simona, przyjmując za nim podział historji na okresy organiczne i krytyczne, tym pierwszym nadał piętno tendencyj kooperatywnych, istotną zaś cechę drugich upatrywał w przewadze indywidualizmu. W okresach krytycznych panuje rozdźwięk i brak koordynacji. Społeczeństwo z dawnej organicznej spójni przemienia się na zbiorowisko jednostek, pozbawionych wszelkich więzi, wyobcowanych ze swego środowiska i walczących ze sobą. W ten sposób ujął saint-simonizm, jako poprzednik marksizmu, ścisły związek pomiędzy indywidualizmem jako kategorją historyczną a kryzysem ustrojowym lub klasowym. Wzrost skrajnego indywidualizmu, a co za tem idzie i mistyki, jako subjektywnej postawy wobec świata, przypada na epoki przejściowe lub inwolucyjne. Zmierzch starożytności był jednym takim okresem, zamykającym istnienie gospodarki, opartej na niewolnictwie, i wprowadzającym do drugiej — poddańczej z nadbudową feodalizmu. Wieki średnie znamionuje najściślejsza koordynacja, która dopiero w okresie Renesansu rozluźnia się, ale tylko — u szczytów. Rewolucja francuska burzy stary porządek feodalny i daje początek ustrojowi wolnokapitalistycznemu. W samej Rewolucji walczyły ze sobą dwa prądy, indywidualistyczno-liberalny burżuazji z „totalnym", kooperatywnym ludowej dyktatury Robespierre'a. Owoce przewrotu rewolucyjnego przypadły w udziale wyłącznie burżuazji handlowej i przemysłowej, gdy położenie ludu, obejmującego warstwy wyrobników, rzemieślników i chłopów, nie uległo prawie żadnej zmianie. Według okre-

tem ostrzej słyszę nocy sunącej na mnie szept.

ślenia Saint Simona — miejsce feodalizmu arystokratycznego zajął „feodalizm bankierów", poddany z okresu przedrewolucyjnego stał się — niewolnikiem nędzy. I oto występuje zjawisko napozór paradoksalne. Przeciwko indywidualizmowi mieszczańskiemu, który staje się niczem innem, jak tylko egoizmem klasowym, wyłania się z poczucia krzywdy społecznej bunt jednostek czujących, bunt przeciw ciasnocie życia zbiorowego, przeciw przeżytkowym już normom i zasadom. Jest to nowy indywidualizm — rewolucyjny, który staje w obronie uciskanych i przeradza się w — anarchizm. Najwybitniejszym jego przedstawicielem wśród emigracji polskiej w Paryżu jest — Juljusz Słowacki.

ŚWIĘTA ANARCHJA

W mistycznym okresie swej twórczości formułuje on ideę „świętej anarchji", tj. takiego ustroju społecznego, w którym duchy wyższe mogłyby swobodnie rozwijać pełnię swych udolnień i nie musiałyby podlegać jednostkom niższym.

Przedstawiając cechy nowej formy społecznej w liście do ks. Adama Czartoryskiego, odróżnia ją Słowacki wyraźnie od ideałów wolności i równości, głoszonych przez „dzisiejsze cielesne komunizmy i purpurowe demokracje". Trudny problemat równości, postulowanej przez utopijne prądy socjalistyczne, był rafą, o którą rozbił się nieomal dawny demokratyzm Słowackiego. Pod wpływem buntu Szeli oraz naskutek osobistych przeżyć mistycznych poeta zrewidował w niejednem swoją dawną ideologję ludową. Nie ulega wątpliwości, że przeprowadzona przez Słowackiego krytyka naiwnego komunizmu równościowego była całkowicie słuszna. Słuszność była po jego stronie, gdy pisał, że nie o równość cielesną mu idzie, nie o postawienie wszystkich pod jedną miarę, podług średniej ludzkiej urody, ale o wolność tego rodzaju, by rosnący w piękność duch nie miał żadnej przeszkody. Podstawą owego ustroju miało być „liberum veto".

> „Z ducha jednak a nie z ciała. Dawni Polacy, stwarzając zasadę liberum veto przejęci byli myślą, jakoby co chwila Chrystus mógł się obywatelem kraju narodzić, a narodziwszy się choćby jednym z najpodlejszych obywateli — drogę znaleźć aż do tronu prawem uświęconą i przygotowaną... bo nie buntownikiem, ale obywatelem kraju będąc, mógł oto swoje veto położyć — a zawiązać prawnie konfederację apostołów — a ogłosić, że na zgodzie ostatecznej duchów kościół swój jeden postawi i królestwo swoje zbuduje. Jakożeście nie pojęli, że dla budownictwa takiego kształtu żyła Polska a dla niedotrwania w niem umarła".

„Obiór jednego przez wszystkich i zaprzeczenie wszystkiego przez jednego" — to podstawy nowej formy społecznej ducha. Z wybitnie anarchiczną teorją veta łączył poeta dość dziwnie zresztą element kooperacyjno-solidarystyczny „konfederacyj to jest gromad ducha jednego". Istoty narodu nie stanowią jego formy zewnętrzne, nie mowa też jest podstawą idei narodowej, ale agregacja duchów, stojących na tym samym szczeblu rozwojowym*).

Tę koncepcję pogodzenia indywidualizmu ze społecznością przejął Słowacki prawdopodobnie od saint-simonizmu; jednem z naczelnych zadań socjalizmu utopijnego było wytworzenie takich warunków społecznych, w których jednostka mogłaby rozwijać zarówno swoje zdolności umysłowe, jak i fizyczne. Saint-simonizm wprowadził jednak poraz pierwszy do socjologji dwa elementy, które miały stać się zczasem główną podstawą marksizmu. Uznawał więc przedewszystkiem podział społeczeństwa na klasy i stwierdzał, że historja — coprawda tylko nowożytna — jest historją walki tych ugrupowań społecznych. Z natury rzeczy musiał być pogląd klasowy utopistów niedojrzały, jak niedojrzałemi były jeszcze ówczesne stosunki produkcyjne. Wielką zasługą Saint Simona było stwierdzenie ścisłej zależności instytucyj politycznych od struktury klasowej społeczeństwa. Wszelki ustrój polityczny istnieje dopóty, dopóki jest użyteczny dla większości społeczeństwa, a więc dla klasy najuboższej. Przyszła forma społeczna, rozbudowana na zasadach „nowego chrześcijaństwa" ma zapewnić dobrobyt i możność rozwoju klasie najbiedniejszej i najliczniejszej.

Element walki klasowej nieobcy był anarchicznej ideologji Słowackiego, przybrał jednak formy walki feodalizmu i finansjery z „ludem". Owo pojęcie ludu miało znaczenie niezbyt ściśle określone a utrwaliło się dzięki frazeologji jakobińskiej Wielkiej Rewolucji. Obejmowało wszystkie warstwy społecznie upośledzone, stawiało jednak chłopa na czele wyzwoleńczego ruchu socjalnego. Ta koncepcja odpowiadała stosunkom produkcyjnym w nawskroś rolniczej Polsce, gdzie nie było jeszcze proletarjatu w nowoczesnem znaczeniu tego słowa i gdzie nieliczna garść robotników, pracujących

*) Święta Anarchja prowadziła oczywista prostą drogą do idei dyktatury. Łamanie praw przyznawał bowiem poeta wyłącznie jednostkom wielkim, stwierdzając zarazem, że ogół przeciętny prawom ulegać musi.

JERZY PUTRAMENT

* * *

Nim pójdę, jeszcze raz Twój śmiech zobaczę,
Twe oczy, Twoją twarz w warkoczów rytmie,
uroki świata tego rozdzielasz inaczej
i siłę życia sławisz zbyt dobitnie.

Żal mi, że Ciebie zobaczyłem. Gwiazdy
być może także głoszą nam dalekie piękno
poranków roześmianych, wieków jasnych,
których ubogiem naszem życiem nie dosięgnąć.

Może majowe pęki, drzew rumiane światła,
tuląc smoliste kule liści o północy,
tak samo mówią o rosnących nowych kształtach,
o niebywałych, lecz stających się owocach.

Ale Ty jesteś, Ciebie widzę, znam Twój śmiech,
przy Tobie próżno zapominać zła legendę,
każdy swój dzień odeszły, każdy błąd i każdy grzech
i wszystko, czem nie jestem, czem nie będę.

Wiem: nie zagarniać jutra. Pójdę dalej,
a Twoich słów i Ciebie będę się pilnie strzegł,
bo gdy poranek obcy najjaśniej się rozpala, -

podówczas w zakładach żyrardowskich czy w fabrykach, założonych przez ks. Druckiego-Lubeckiego, rekrutowała się przeważnie ze wsi, spośród małorolnej lub bezrolnej biedoty włościańskiej. Dlatego też rewolucja socjalna, jaką wieści poeta, jest rewolucją chłopską:

Wyjdzie stu robotników,
Oborze miasta grunt,
Wyrzucą łokieć — funt...
Święci staną w katedrze
Trzej... i zawezwą ducha
Lud księgi praw rozedrze
Próchno kart porozdmucha
Weźmie stare sztandary
Wyprowadzi jak mary
Za kościół na mogiły
Zapali, by świeciły
Światu dawnemi dzieły
Błysnęły i spłonęły.
Bije godzina ranna
Masy rzekły: Hosanna!

Proklamuje więc Słowacki w tym programowym wierszu powrót na łono natury*), z ustroju przemysłowo-handlowego do rolniczego, głosi nietylko spalenie dawnych sztandarów, ale i wyrzucenie łokcia i funta (analogja do Chrystusa wyrzucającego przekupniów ze świątyni), oraz zniszczenie cywilizacji urbanistycznej („oborze miasta grunt").

Stanowisko, jakie wyznaczał poeta ludowi, było wynikiem jego realnego poglądu na dzieje jako na czyn zbiorowy. Siła brakchjalna mas ludowych miała dopomóc sile duchowej jednostek wielkich. Podczas jednak, gdy los tej masy najbiedniejszej stanowi u Saint-Simona cel rozwoju społecznego, Słowacki, apostoł „świętej anarchji" powiada:

Znajdź najszlachetniejszego a potem cierpliwy
Buduj kraj, w którymby ten święty był szczęśliwy.

Jak widzimy, demokracja Słowackiego nie oznacza wcale rządów ludu, lecz stwierdza, że lud odegrać musi przodującą rolę w walce o Niepodległą Polskę, o „Jeruzalem słoneczną". Jest to więc — że użyjemy języka współczesnego — „demokracja siły", demokracja akcji.

UPIÓR RÓWNOŚCI

Z chwilą, gdy konkretne hasła z „Odpowiedzi Autorowi Trzech Psalmów" znalazły potwierdzenie w rzezi galicyjskiej, Słowacki — „republikanin z ducha", ale szlachcic z... krwi i kości, zastąpił je mglistym postulatem „rewolucji z ducha".

Termin ten stwierdzał, że wielkie ruchy masowe powinny wypływać nie ze sprzeczności interesów ekonomicznych, nie z walki żołądków, ale — z ducha. Stąd atak gwałtowny nietyle może przeciw Saint-Simonowi, ile przeciw Bazardowi wymierzony, stąd walka Słowackiego z socjalizmem utopijnym. (Słowacki nie negował oczywista istnienia ekonomji, lecz interpretował ją w sposób skrajnie spirytualistyczny, twierdząc, że celem ekonomji politycznej jest „obudzenie i utrzymanie ruchu duchowego" a środkiem wartości ekonomicznej jest natchnienie).

W planie dramatu społecznego „Syn Ziemi" — tak formułuje „szatan komunizmu" swoją naukę:

„Ja, powiada, także myślę o uwolnieniu z więzów Pana i jego miljonów, lecz ty dziecko jesteś. Miljony te chcą jeść, ty je wodzisz gdzieś daleko po stepie zmartwychwstania i szukasz mogiły Pańskiej z Ukrzyżowanym, a tu trzeba tych ludzi siekierami uzbroić i prowadzić w kraj, gdzie stodoły nagromadzone, gdzie kupcy nagromadzili złota, srebra, brylantów. Praktycznym bądź, bo cię uczynię śmiesznym w twoim własnym obozie, jeżeli się ze mną nie połączysz, że w ewangelii jest nauka o równości cielesnej".

Pisząc o „szatanie komunizmu" miał może Słowacki na myśli Bazarda, który kładł największy nacisk na stronę ekonomiczną doktryny saint-simonowskiej i postulował „równość cielesną", niwelację społeczną dziedziczenia bogactw i odpowiedni podział narzędzi pracy. Była to jednak niwelacja wyłącznie materjalna a nie duchowa, jak się wydawało mylnie Słowackiemu. Saint-simoniści w przeciwstawieniu do utopijnych „równościowców" uznawali hierarchję społeczną, którą formułowali w haśle: każdemu podług jego zdolności, a każdej zdolności podług jej zasług.

Spośród polskich myślicieli nierealność równości bezwzględnej wykazał znakomicie Cieszkowski, lecz ostateczne wnioski jego socjologji były reakcyjne, sankcjonowały bowiem nietylko nierówność duchową, lecz i materjalną (pochodzenia i majątku) oraz potępiały rewolucję:

„Obłąkane mędrki wasze wielbią ją (ustawiczną rewolucję) jakoby samego Postępu istotę, a wierzcie wasze, w napadzie chwilowego obłąkania, zwą samego Ducha, — onego Pocieszyciela i Utwierdziciela, — „wiecznym rewolucjonistą".

Wyraźna ta aluzja do dawnych poglądów Słowackiego z „Odpowiedzi", który gdzieindziej pisze:

„Przez rewolucje leczą się przestarzałe narody, albowiem rozbicie czasów formy, która duchy ugniatała, dopomaga wyjściu na wierzch większych duchów a na właściwe niższe miejsca strąca te uprzywilejowane".

Otóż jakby broniąc się przed zarzutami, podobnemi do zawartych w „Ojcze Nasz", Słowacki skonstruował pojęcie rewolucji z ducha, wolności z ducha i Anioła Veta, którego przeciwstawił vetu cielesnemu, „żołądkowemu". Sprawiedliwość społeczna nowego ustroju polega ma nie na zniesieniu własności prywatnej, lecz na łagodzeniu kontrastów przez dobrowolne ofiary:

„Każdy z was składać będzie dary bliźniemu swemu w dzień święta jego a on z tych darów ma mieć na rok cały opatrzenie. Sam zaś z pracy swojej ofiarowywać będzie dary bliźnim... Wszakże nie tym, którzy go obdarowali., ale drugim". Pomysł ten przypomina ideę „pięćdziesięciolecia" z ksiąg starożydowskich.

NARÓD I PAŃSTWO

Tem, co charakteryzowało może najbardziej socjalizm utopijny, była nakreślona w ogólnych zarysach przez Fouriera i Saint-Simona nauka o państwie. Ze zrozumienia, że instytucje polityczne nie są zjawiskiem niezmiennem, lecz zależą ściśle od stosunków gospodarczych, wynikała anarchiczna „eschatologja" społeczna z typową dla utopijnego sposobu myślenia niechęcią do polityki, jako jednego z głównych źródeł istniejącego zła. Saint-Simon przewidywał w przyszłości zanik polityki i ustąpienie przez nią miejsca — ekonomji. Ekonomja polityczna zajmie właściwe sobie miejsce, a rząd polityczny zostanie zastąpiony przez zarząd nad rzeczami i środkami produkcyjnemi. W ten sposób sformułował Saint-Simon podstawową tezę, która w socjalizmie naukowym Marksa i Engelsa otrzyma konkretną już postać nauki o „obumieraniu państwa".

Niechęć do polityki i państwa, jako form krępujących ducha, znał i Słowacki. W swej mistyce socjologicznej przeciwstawiał naród jako twór ducha — produktowi interesów, państwu i pisał:

Narodowoście, które sama forma wiąże
Za kieszeń trzyma bankier a za głowę książę.

W tej niezwykle trafnej i złośliwej definicji współczesnego sobie państwa, mającego formy feodalne („Książę") a treść — burżuazyjną („bankier"), był Słowacki następcą saint-simonowskiej koncepcji „feodalizmu bankierów", a prekursorem Stirnera i Marksa Naród, a nie państwo, stanowi w mistyce Słowackiego istotną, wieczystą wartość zbiorowości. Formę państwową zaś uważa za więź, scalającą jednostki na płaszczyźnie interesów ekonomicznych.

„Są ludzie, którzy i za Jowisza konali i za Grecję i za Kościół i za papieża i za ojczyznę — wszystko to jedno skonać dla bałwana; jedynie ci, którzy konali, aby w sobie Synostwa Bożego przed potęgą ziemi nie ugięli, konali jako ludzie".

Fragment ten zawiera zarysy kosmopolityzmu Słowackiego, kosmopolityzmu, jako wyniku syntetycznego ujmowania narodu i ludzkości. Czem dla społeczeństwa jednostki, tem dla ludzkości narody. Kosmopolityzm to wyższego rzędu: głosi zniesienie antagonizmów narodowościowych, walczy z egoizmem poszczególnych społeczeństw, lecz nie myśli, jak mu się to często zarzuca, o zniesieniu różnic i cech narodowych. Ideały Saint-Simona i jego uczniów o powszechnem zrzeszeniu ludzkości, ideały, którym Comte nadał wyraźne cechy kultu religijnego, znalazły dobitny wyraz w mistyce Słowackiego. Ponad Polskę idealną stawia on cel wyższy, do którego Polska właśnie ma prowadzić narody. To — Jeruzalem Słoneczna, rozsłonecznienie globu, powszechne zbratanie ludzkości podług hierarchji i miłości z ducha.

FAŁSZYWY PROROK

Idee ducha wiecznego anarchisty znalazły podatny grunt w umysłach Młodej Polski a zwłaszcza w psychice jej wodza — Przybyszewskiego.

W drugiej połowie XIX w. społeczne oblicze indywidualizmu uległo całkowitej zmianie. Rozwój przemysłu i techniki powołał na arenę dziejów nową siłę socjalną, nowożytny proletarjat, a równocześnie wykopał głęboką przepaść między liberalizmem a kształtującym się ostatecznie socjalizmem naukowym Marksa i Engelsa. Synteza tych dwu kierunków, uwarunkowana przez walkę ze wspólnym wrogiem — absolutyzmem — musiała się wkońcu rozluźnić. Narastające w dobie Nietzschego i Przybyszewskiego przeciwieństwa klasowe, organizowanie się proletarjatu w potężne związki zawodowe i partje polityczne — wszystko to zagrażało zupełnem zniszczeniem dotychczasowego porządku społecznego. Władztwu pięknych duchów, „übermenschów" i kapłanów-artystów przeciwstawiało się ponure widmo masy wynędzniałych, zagłodzonych na śmierć Parjasów.

Z drugiej strony wrogiem artysty była kołtuńsko-filisterska burżuazja. Na takiem tle rodzi się potrzeba anarchicznego buntu, który Nietzsche nawiązuje do polskiego liberum veto a Przybyszewski poprzez niego — do Słowackiego. Frazeologja tego buntu pozostaje ta sama, ale treść jej się zmienia: z rewolucyjnej w dobie Słowackiego staje się wsteczną w dziełach Nietzschego i autora „Szlaków duszy polskiej". Słowacki, którego cytował tak obficie jego fałszywy prorok Przybyszewski — nie znał pogardy dla „motłochu", nie pomiatał „trzodą".

POGRZEB

Młoda Polska umarła na uwiąd starczy, a bojowcy PPS Frakcji Rewolucyjnej opuścili podziemia konspiracji. W Polsce Niepodległej — spotkało ducha wiecznego anarchistę osamotnienie. Kult Słowackiego niknie i słabnie. Ostatnim jego pozagrobowym tryumfem było sprowadzenie zwłok Jego do kraju i pochowanie ich na Wawelu. Wtedy to Marszałek Piłsudski w pięknem przemówieniu oddał hołd prochom genjalnego poety. Nie był to jednak hołd dla apostoła anarchji, lecz dla wieszcza narodowego, który sławił w swych dziełach potęgę jednostki wielkiej uznawał jej prawa do władzy nad zbiorowością.

Stanisław Salzman

*) „Cywilizacja jest to Szatan" — powiada w „Raptularzu".

LEON LOURIE

TOKUNAGA NAOSHI

Szczególne warunki bytowania ludów Dalekiego Wschodu sprawiły, że przebieg walk politycznych, zaostrzenie konfliktów społecznych i związane z niemi codzienne bytowanie ludu japońskiego czy chińskiego, nabrały ostrości i dramatyczności, których refleks tak bardzo zaciążył — w sensie dodatnim — choćby na twórczości Malraux. Powieści czołowego pisarza japońskiej lewicy — Tokunaga Naoshi — nasycone są przedewszystkiem najgłębszym i najbardziej osobistym autentyzmem. Środowisko i zdarzenia, opisane w „Ulicy bez słońca" i „Tokio, miasto bezrobotnych", znane są autorowi z własnego przeżycia.

Najogólniejsze ramy tych dwu powieści — to wielki strajk drukarzy japońskich, który wybuchł w Tokio w roku 1926 i po bezprzykładnie prawie, dramatycznym przebiegu zakończył się klęską robotników. Te zdarzenia stanowią trzon pierwszej książki: „Ulicy bez słońca". Pozwalają one postawić naczelne zagadnienie: celowości ofiarności walczących. A raczej może konflikt: indywidualny los walczącego i walczących a właściwy sens ich walki. W pierwszej powieści jest to dla autora wyłącznie zagadnienie moralne. Dzieli on swych bohaterów na szarą masę proletarjuszy i na zawodowych rewolucjonistów, dla których bledną konkretne cele toczonej walki wobec wartości politycznych. Jeden z bohaterów — Chagimura mówi do jednego z tych zawodowców:

„Ty nie wiesz, co to znaczy jeść robotniczy chleb: oto dlaczego jesteś spokojny! Stracić pracę — to znaczy zdechnąć z głodu!"

Tokunaga Naoshi nie rozwiązuje zagadnienia w pierwszej swej powieści. Nie znajduje odpowiedzi. Jeszcze jest sam pełen wątpliwości.

W „Ulicy bez słońca" motyw ten stanowi jeszcze dyskretne tło. Na pierwszym planie rozgrywają się dramatyczne etapy strajkowych walk.

Ale Tokunaga nie dostrzega jeszcze istotnych motorów i istotnych celów walki. Widzi jedynie to co najbliższe: szary tłum zdychających z głodu biedaków i łatwy kontrast: bogactwo baronów przemysłowych. Nastawienie jego jest jeszcze nastawieniem powierzchownego widza. Nie zagląda jeszcze za kulisy i chwytając poszczególne fakty, nie dostrzega związków między niemi. Widzi twarze — dużo nieróżniczkowanych „szarych" twarzy — ale nie chwyta rytmu bijących serc. Dla nas mimo to ciekawy będzie ten autentyczny dokument z kraju, w którym nie brak jeszcze ostatków feodalnej egzotyki obyczajowej, zasadnicze bowiem problemy nie odbiegają od zagadnień, które i nas emocjonują.

„Tokio, miasto bezrobotnych", to druga po „Ulicy bez słońca" powieść Tokunaga Naoshi. I mimo, że akcja „Tokio" rozpoczyna się w tym samym momencie, w którym kończy się „Ulica", mimo że środowisko i poszczególne postaci są w obu powieściach jednakie, odczuwamy od pierwszej chwili, że horyzont rozszerzył się znacznie, że mamy do czynienia z powieścią, która w niejednym swym fragmencie nasunie nam — ze względu na zrozumienie istotnych motorów rewolucyjnych walk i jakże pogłębiony opis dynamiki rewolucyjnej — analogje z wspaniałą twórczością Andrzeja Malraux.

A zagadnienie istotnego sensu tych walk przeniesione zostanie na płaszczyznę polityczną.

Akcja drukarzy tokijskich skończyła się klęską. Ale tylko ekonomiczną. Na gruzach ulicy bez słońca, siedliska proletarjatu tokijskiego, kiełkuje zrozumienie politycznego sensu walki, której nic nie może powstrzymać.

Chagimura, stary bojownik, zatraca się wobec rzeczywistości, której nie zdołał pojąć. Prowadzi spółdzielnię i starannie chroni swe ustronie przed rzekomą „agresją" polityki. Nie zdobywa się też aż do końca na przebycie tej przepaści i umierając widzi wokół siebie same trupy. Nie widzi, a gdy zobaczy, nie potrafi zrozumieć młodego pokolenia, które od obrony zajmowanych pozycyj ekonomicznych, przechodzi do twardej i trudnej ofenzywy politycznej.

Pojmie to — obok tylu innych nieustraszonych bojowników — także i żona jego, Takae i opuści chorego męża, by pójść tam, gdzie wola ją obowiązek, świadoma, że w tej walce trzeba iść „poprzez trupy".

Tokunaga nie oszczędza swych bohaterów. Jest wobec nich skrajnie bezwzględny. W straszliwej walce poświęcają oni swe osobiste uczucia, giną sami, a jeśli pozostają przy życiu i nie wpadają w ręce policji — czeka ich nieraz widok zgliszcz i rumowisk. Optymizm autora jest bowiem innego, wyższego gatunku: poprzez te wszystkie walki, poprzez najstraszliwsze klęski trwa wciąż i wzmaga się walka o ostateczne rozstrzygnięcie.

Prymitywizmowi „Ulicy bez słońca" przeciwstawiliśmy dojrzałość „Tokia, miasta bezrobotnych". Wspomnieliśmy przytem o Malraux. Nie tylko egzotyzm środowisk „Doli człowieczej" i „Tokia" pozwala na to zestawienie. Oczywiście, brak japońskiemu pisarzowi owej „psychologicznej kultury". Jego powieść jest — jeśli to tak określić można — mniej rafinowana. Ale ukazanie istotnych motorów politycznej walki proletarjatu jest u niego tak samo osiągnięciem twórczem wysokiej miary.

Szkoda tylko, że ten pisarz — od trzynastego roku życia drukarski robotnik — tak zupełnie nieznany jest polskiemu czytelnikowi.

WOJCIECH BYLINA

BRUKSELSKI KONGRES POKOJU

Od ostatniej wielkiej wojny światowej minęło lat bezmała dwadzieścia. Ludzie, którzy podczas jej trwania byli w sile wieku, są już dziś starzy lub zeszli do grobu. Wyrosła nowa młodzież, która wojny z własnego doświadczenia nie zna. W znacznej swej części dotknięte bezrobociem, pozbawione radości twórczej pracy, ograbione z poczucia własnej wartości i znaczenia, stanowi pokolenie dzisiejsze grunt podatny do wszelkiego rodzaju — zarówno szkodliwej jak pożytecznej — propagandy. A propagandy tej nie brak bynajmniej, zwłaszcza zaś nie brak szkodliwej. Groźba wojny jest może bardziej niż kiedykolwiek realna.

W szeregu państw, w których do władzy doszły elementy skrajnie nacjonalistyczne, faszystowskie, w państwach, które bardziej od innych zagrożone były potężnemi ruchami socjalnemi, po wyczerpaniu arsenału wszelkiego rodzaju środków odurzających, mających groźbę tych ruchów zlikwidować, chwycono się środka ostatecznego — mobilizowania społeczeństwa do zbliżającej się wojny. Faszyzm głosi wprost, bez żadnych osłonek, że stan wieczystego pokoju jest przeciwny naturze ludzkiej, która rzekomo „musi znaleźć wyładowanie swoich wyższych wartości" w orężnych rozprawach. Mobilizując społeczeństwo do wojny, ukazując mu perspektywy zaborczych napaści, mających przynieść zaspokojenie potrzeb gospodarczych cudzym kosztem, faszyzm daje masom, nad któremi sprawuje dyktaturę, złudzenie, że wreszcie mają jakiś twórczy cel w życiu, że nareszcie mają jakąś wielką ideę, dla której warto żyć i umierać.

Celem tym ma być wojna. Wojna gorsza, niż którakolwiek z dotychczasowych, gdyż w każdym niemal kraju zamieniona równocześnie na stokroć straszliwszą i nie znającą pardonu wojnę domową, wojna, która — raz rozpętana — nie skończy się, dopóki ludzkość sama nie padnie, wyczerpana upływem krwi, lub dopóki faszyzm i kapitalizm nie zostanie złamany. Czasy, gdy wojna była prowadzona o pewien określony cel, po którego osiągnięciu wszystko mogło — pozornie — wrócić do stanu poprzedniego, minęły już bezpowrotnie. Dzisiejsza wojna nosić musi charakter bezwzględny i uporczywy bez zastrzeżeń.

Dlatego pragnienie pokoju jest ogromne. Dlatego hasła pokoju i miłości szybciej trafiają do tych samych nawet mas, na których faszyzm buduje swe nadzieje, niż hasła nienawiści i wojny. Tak jak Europa dzieli się na dwa bloki państw — pokojowy i pracy do wojny — tak i przez każde społeczeństwo zaczyna biec coraz wyraźniej linja podziału na mniejszość, skłonna do wojny i ogromną większość, która tej wojny nie chce. Śmiało rzec można, że hasło pokoju jest najpopularniejszem hasłem, które najłatwiej w krótkim czasie gromadzi miljony.

INICJATORZY KONGRESU

W tych warunkach powstała inicjatywa zwołania Kongresu Pokoju. Od pierwszej chwili impreza ta miała na sobie piętno wyjątkowej wprost masowości. Księża, pastorzy, działacze związków zawodowych, intelektualiści, robotnicy, socjaliści, komuniści, radykałowie, liberali, laburzyści, konserwatyści licznych odcieni — jednem słowem wszyscy oprócz wszelkiego rodzaju faszystów zainteresowali się gorąco myślą zorganizowania mas pragnących walki o pokój. Toteż nie dziwi nas bynajmniej dobór nazwisk osób, które odegrały w Kongresie przodującą rolę. Herriot (radykał, przewodniczący francuskiej Izby Deputowanych), Cot (minister lotnictwa w rządzie francuskim), lord Robert Cecil (prezes Międzynarodowego Stowarzyszenia Pokoju), Desbons (Związek byłych kombatantów), Szwernik (sekretarz generalny sowieckich związków zawodowych), Jezequel (pastor), wreszcie najwybitniejsi przywódcy drugiej (socjalistycznej) Międzynarodówki — Vanderwelde i de Brouckere. Niepodobna tutaj wymienić wszystkich, podaliśmy jedynie kilka nazwisk dla zorjentowania czytelnika w różnorodności sfer kierowniczych Kongresu, która doskonale ilustruje różnorodność współdziałających na tym odcinku walki o lepsze jutro ludzkości.

ZWOŁANIE KONGRESU

Kongres został pierwotnie zwołany do Szwajcarji, ale rząd szwajcarski postawił warunki, których organizatorzy zaakceptować nie mogli. Żądano nietylko, aby żaden z mówców nie krytykował żadnego z rządów, ale również wymagano, aby na sali obrad stale znajdował się urzędnik policji szwajcarskiej, upoważniony do przerywania obrad z chwilą, gdy uzna, że ktoryś z mówców powiedział coś „niewłaściwego". Oczywiście, na to żądanie inicjatorzy Kongresu zgodzić się nie mogli. Kongres postanowiono urządzić w Londynie, ale ostatecznie zwołano go do Brukseli w pierwszych dniach września. Zresztą rząd belgijski również zastrzegł się przeciwko „napaściom" na którykolwiek z rządów. Na to przystano, ponieważ, jak zaznaczył lord Cecil, celem Kongresu nie było dyskutowanie doktryn lub teoryj politycznych.

Na apel inicjatorów odpowiedziało czterdzieści krajów, w których zorganizowano komitety pokojowe. Z tych do Brukseli przybyły czterdzieści dwie reprezentacje. Kilkadziesiąt innych organizacyj wzięło w kampanji udział pośredni. Liczba delegatów, którzy zjawili się w Brukseli, przekraczała cztery tysiące!

PRACA KONGRESU

Praca Kongresu wcale nie była łatwa. Nietylko dlatego, że liczba delegatów była tak ogromna (temu zaradzono, rozdzielając pracę między poszczególne komisje, których pracowało dwanaście), ale przedewszystkiem dlatego, że reprezentowane były wszystkie możliwe europejskie i pozaeuropejskie poglądy i doktryny polityczne, oprócz naturalnie faszystowskich, nie uznających wiecznego pokoju „z zasady". Jednakże wspólna myśl, która ożywiała wszystkich delegatów, pragnienie znalezienia sposobu walki z grożącem wszystkim niebezpieczeństwem wojny — okazała się dostatecznym bodźcem, aby księża w pełnej zgodzie i harmonji współpracowali z... komunistami. Toteż nader szybko opracowano na komisjach wspólną platformę, przyjętą następnie na plenum Kongresu. Sprowadzała się ona do czterech punktów zasadniczych:

1. Uznanie nienaruszalności zobowiązań, wypływających z traktatów.

2. Porozumienie międzynarodowe dla ograniczenia zbrojeń i zniesienia ciągnięcia zysków z produkcji i sprzedaży artykułów wojennych.

3. Wzmocnienie Ligi Narodów celem zapobiegania wojnom i organizowania zbiorowego bezpieczeństwa i wzajemnej pomocy w razie napaści.

4. Utworzenie w ramach Ligi Narodów aparatu, mogącego w skuteczny sposób wpłynąć na stosunki międzynarodowe, doprowadzające do wojny.

Kongres zastanawiał się nad metodami pracy i propagandy, przy pomocy których cele powyższe dałyby się osiągnąć, oraz nad skoordynowaniem działalności wszystkich szczerze pacyfistycznych organizacyj w ich walce o pokój.

Oczywiście, ogromną rolę odegrały w Kongresie organizacje i związki robotnicze, zwłaszcza zaś związki zawodowe (francuskie, angielskie i sowieckie). Nic też dziwnego, że uchwały komisji związków zawodowych, obradującej pod przewodnictwem Francuza Jouhaux, zostały entuzjastycznie przyjęte. Podkreślono w nich, że klasa robotnicza sama określać będzie napastnika („jest nim to państwo, które nie zgadza się na pośrednictwo celem zlikwidowania zatargu z innem państwem") i sama baczyć będzie, aby rządy ściśle wykonywały przyjęte na siebie zobowiązania międzynarodowe, dotyczące niepopierania strony napadającej itd. Zaznaczono, że w walce o ścisłe wykonanie zobowiązań pokojowych klasa robotnicza nie zawaha się uciec do broni tak ostrej, jak proklamowanie strajku powszechnego. Dotyczyć to będzie naruszenia postanowień w rodzaju embargo na broń, bojkot napastnika itp.

Doniosłe znaczenie ma też stwierdzenie, że klasy pracujące uznają pokój za niepodzielny i wypowiadają się przeciwko neutralności w razie napaści jednego mocarstwa na drugie.

ZADANIA NA PRZYSZŁOŚĆ

Omówiono też — i to jest może jedna z najważniejszych zdobyczy — zarys prac na przyszłość. Okazało się, że ogromna zbiorowa manifestacja, jaką stał się Kongres brukselski, narodom nie wystarcza, że pragną one stałej, międzynarodowej, zorganizowanej współpracy wszystkich sił pokojowych. Przedewszystkiem zaś pragną, aby grzmiącym na cały świat głosicielom i apologetom wojny przeciwstawić równie głośnych — ale zbrojnych w lepsze argumenty — heroldów pokoju. Toteż uchwalono utworzenie międzynarodowej organizacji, mającej jednoczyć wysiłki poszczególnych komitetów obrony pokoju we wszystkich państwach i postanowiono przystąpić do zbierania funduszu pokoju drogą małych cotygodniowych lub comiesięcznych datków, które powinny w krótkim czasie już złożyć się na sumę 50.000 funtów (tyle bowiem postanowiono zebrać na początek). Spośród licznych dalszych postanowień przytoczymy w pierwszym rzędzie zalecenie zorganizowania „plebiscytu pokojowego" w każdym kraju. Odnośne postanowienie Kongresu w Brukseli brzmi:

1. Zakłada się międzynarodówkę pacyfistyczną z centralą wszechświatową, radą generalną i stałem biurem.

2. We wszystkich krajach zwoła się konferencje pacyfistyczne, zorganizuje się głosowania ludowe w sprawie pokoju powszechnego i zbiórki na Fundusz Pokoju.

3. Międzynarodówka pacyfistyczna będzie miała stałego przedstawiciela przy Lidze Narodów.

4 Ważniejsze grupy zawodowe utworzą międzynarodówkę pacyfistyczną związków zawodowych.

Podobną organizację chłopską postanowiono powołać do życia na odbytej w ramach Kongresu konferencji chłopskiej.

Niema wątpliwości, że przeprowadzenie tych zadań — zbiórki pieniężnej, organizowania komitetów lokalnych, doprowadzenia do skutku plebiscytu pokojowego — da możność jeszcze bliższego zjednoczenia szerokich mas — bez względu na ich przynależność polityczną — na platformie walki o pokój. Popularność tego hasła i łatwość, z jaką trafia ono do najszerszych sfer, została doskonale podkreślona przez lorda Lyttona, który na Kongresie oznajmił, że „sprawa pokoju nie dotyczy prawicy lub lewicy lecz wszystkich". Podkreślono to również w słowach uchwalonej jednogłośnie odezwy: „Jedynym naszym wrogiem będzie napastnik, który gwałci prawa międzynarodowe i niszczy pokój świata".

Bardzo też charakterystyczna była postawa duchownych chrześcijańskich na Kongresie. Zebrani w komisji dla spraw Kościoła i innych organizacyj religijnych, uchwalili odezwę, w której w imię „nauk Pana Naszego Jezusa Chrystusa" zwracają się do wszystkich duchownych na świecie z prośbą i apelem o wyzyskanie wpływów wychowawczych kościoła dla celów walki o pokój.

* * *

Na ponurem tle nieustannego szczucia szowinistycznego Kongres w Brukseli był manifestacja szczerej międzynarodowej solidarności. Powiedział jednym ludziom o drugich, dał im odczuć własną siłę — sprawił, że zrozumieli, na jakie poparcie mogą liczyć w krajach obcych, poczuli, że nie są sami. Już to jedno możnaby było uważać za sukces ogromny.

Dla Polski, bardziej niż inne państwa wystawionej na niebezpieczeństwo w razie wojny europejskiej, mają wszelkie poczynania pokojowe ogromną wagę. Miejmy nadzieję, że w świetle wyników Kongresu praca pokojowa w Polsce rozwinie się żywiołowo.

STEFAN ŁĘCZYC

NA LINJI BRZEŻANY

Noc broni się przed świtem
w nierównych, ciężkich walkach —
złamana zbiega ciszą
z granicznych pól w Podhajcach,
skąd tropi ją i goni
na rozśpiewanych kołach
niepokonana kolej,
wiodąca dzień do Lwowa.
Pod kłośne falowanie,
pod parkan lasu w biegu
upada niespodzianie
o mrocznej twarzy niebo,
i świstem zdobywane,
jak cienie się poddają:
Brzeżany, Przemyślany,
Dunajów, Mikołajów.

w przedziale 3-ciej klasy,
nim oczom noc przeminie,
nieufnie kryją twarze
Żyd, Polak, Ukrainiec —
lecz oto po kapocie,
szynelu i sukmanie
rytmiczny stuk przechodzi
kłótliwem potrącaniem...
Jest potem taka chwila,
co sercu bieg odbiera,
gdy budzi się, odżywa
szarpana w sporach ziemia;
odżywa wspomnieniami,
śladami, które trwają:
Brzeżany, Przemyślany,
Dunajów, Mikołajów.

Trzy sprawy, trzy języki,
trzy światy, trzy nadzieje,
kołysze się, kołysze
tragedja naszych dziejów,
a w białych oknach świtu
przebiega cała Polska,
bez pompy i bez szyku,
bez krzyku i bez wojska;
rozwianą panoramą
zieleni, cieni, srebra,
przebiega bose rano
pod jaśniejący bezmiar —
przez pola rozczesane
i wczesny szum zagajów:
Brzeżany, Przemyślany,
Dunajów, Mikołajów.

Otwórzcie okna zimne
i oczy w kołach gniewu,
was wszystkich jest ta ziemia,
poddana prędkim drzewom,
nad których górą wzbiera,
wychwiewa się i rośnie
ponsową zorzą nieba
słoneczny dzień wolności!
Już mieni się, czerwieni,
już złoci i rozżarza
ten dzień zbudzonej ziemi
na naszych chłodnych twarzach,
już jedzie, jedzie z nami
w rozdartą ciemność kraju —
Brzeżany, Przemyślany,
Dunajów, Mikołajów.

AURA WYLEŻYŃSKA

ANDRÉ MALRAUX

Blisko przed rokiem sprawa Etjopji podzieliła literatów francuskich na dwa obozy. Obecnie walki w Hiszpanji wywołały znów rozłam, mniej więcej w tym samym układzie sił. Nastąpiły tylko drobne przegrupowania. François Mauriac w imię chrześcijaństwa stanął obok Andre Gide'a w obronie Abisynji, dziś, w imię zagrożonego katolicyzmu, zajął wyraźnie przeciwne mu stanowisko.

Tu i tam stosunek do wojujących partyj nie jest bierny, szczególnie czynnie zaznaczył się on wśród pisarzy zbliżonych do Frontu Ludowego.

Pierwszy zareagował Malraux. Poleciał do Madrytu na samolocie, który przywiózł do Paryża nowego ambasadora hiszpańskiego. „Gringoire", a w ślad za nim inne faszystowskie organy, oburzyły się na ten fakt, utrzymując, że to minister lotnictwa pomógł pisarzowi odbyć podróż. Przy tej sposobności złośliwie podkreśliły, iż ten duchowy przewódca lewicy zawsze dąży do krajów, w których panuje rewolucja.

Są ludzie burzy i są ludzie pokoju. Jedni więcej dają w świetle, inni w grozie chmur. Zapewne, jest to właściwością Malraux, iż w rażących kontrastach szuka rozstrzygnięcia cudzych i własnych zagadnień.

Duhamel, odgrodzony od dzisiejszego świata, bo nie uznaje całej jego różnorodności, nadal utrzymuje: niema prawdziwej rewolucji poza rewolucją moralną, autor zaś „Czasów Pogardy" w zmaganiu się złych i dobrych sił widzi zwycięstwo prawdy. Malraux w grozie wypadków odnajduje istotnego człowieka, jednoczy się z nim i zlewa w całość. Czuje się bowiem złączony z całokształtem dzisiejszego istnienia, ze swoim czasem. Nie stoi obok, tylko w nim żyje, choć, chwilami, nerwowość pisarza z trudem zdaje się znosić nacisk wydarzeń.

Sztuka jego walczy o zdobycie środków do wypowiedzenia wszystkich uczuć, bada tajemnice formy zbliżonej do codziennego języka, jednocześnie jednak wznoszącej się do wyżyn nowego stylu. Wszystko bowiem, co wchodzi w skład kultury, nie dziedziczy się lecz zdobywa. Osobisty wysiłek składa się na rachunek ogólnego dobra ludzkości.

Indywidualizm, który z początkiem 19-go wieku zdawał się być najwyższą chlubą człowieka, Malraux zmniejsza do minimum w nowej doktrynie literackiej i życiowej — w humanizmie. Humanizm „każdemu odbiera część jego komedji", wcielając ją w ogrom współbytu innych.

Jakkolwiek Malraux wyraźnie wypowiedział swoje credo, rolę człowieka i twórcy określił bez wahań, w każdem jego słowie pisanem czy wypowiedzianem, w każdym ruchu rysowanym w eterze jest — niepokój. Szukanie prawdy odbija się zewnętrznie, w całej osobie, brzmi w głosie, wypowiada się w oczach. Zresztą świadczy o tem jego działalność. Zaczął od badań archeologicznych, potem opuścił zamarłą przeszłość dla bardzo nowego świata. Uwiodła go próba radykalnej reformy dotychczasowego życia. Uważa bowiem, że socjalizm przywraca jednostce jej żywotność. Inna rzecz, zdumiewające jest, jak dalece właśnie on w swych bohaterach nie jest prawomyślny w stosunku do swej najgłębszej wiary.

Niektórzy młodością Malraux tłumaczą jego czynny udział w ruchu nietylko literackim, ale i politycznym Rassemblement Populaire. Sądzę, że wiek nie gra tu roli, inne reakcje, głębszej natury, wyprowadzają go na ulice, gdy w sali jest mu już zaciasno. W pochodach Frontu Ludowego wysmukła postać odcina się od innych, zamknięta w pewnej pozie. Takby szła rzeźba średniowieczna, gdyby wrócono życie jej modelowi. Na wiecach, zaklęty własną myślą, słucha odpowiadając jej, nie cudzym słowom.

Nieraz Malraux przewodniczy przedstawieniom, baletom, lub też sportowym popisom. Siedzi obok Andre Gide'a, który nazajutrz o tem, co widział i słyszał, napisze w swoim dzienniku. To wcale nie jest dziwne, iż znajdują się oni na estradzie. Niegdyś przed dwudziestu kilku laty, „postępowi" głosili męczeństwo i samozaparcie. Dziś młodzi i rozumiejący ich starzy, pragną dobra i wesołości, życia w najbogatszem jego rozpięciu. Na miejscu ascetów chcą widzieć sportowców. Front Ludowy wyrzucył nietylko na podbój praw, ale i przywilejów. Trójkolorowe znaki, zbanalizowane przez 3-cią Republikę odnowił stawiając przy nich czerwony sztandar. Marsyljankę, pieśń rewolucji przez oficjalne sfery odbarwioną z żaru, uznał znów za bojową, Joannę d'Arc, kościelną i zacofaną, włączył do swoich bohaterów, dyskretnemu dowcipowi przywrócił jego rabelesowskie brzmienie. „Le Rire est a gauche", pod tym rewindykacyjnym tytułem Andre Wurmser wygłosił niedawno odczyt.

Ale Malraux nie umie się śmiać samorzutnie i długo. Zacznie i urywa w nerwowym skrócie.

Literat, prowadzący ruchliwe życie męża stanu, codziennie jest chwytany przez aparat fotograficzny Na podstawie wycinków z gazet możnaby stworzyć bogatą kolekcję jego podobizn. Ale żadna klisza, nawet szereg zdjęć, nie zdołają utrwalić zmiennej całości tego człowieka, którego, aby dobrze rozumieć, trzeba widzieć.

Gdy Malraux wrócił z Madrytu, przemawiał na wiecu poświęconym zagadnieniom Hiszpanji. Olbrzymia, dwupiętrowa Salle Wagram, nie zdołała pomieścić wszystkich, pragnących okazać sympatję i solidarność z walczącymi o wolność. Mówi się o egoizmie Francji; przejęcie się sprawą Abisynji a teraz Hiszpanji, świadczy o zgoła innych jej uczuciach dla ludzkości.

Malraux wystąpił jako sprawozdawca podróży, odbytej z tytułu wiceprzewodniczącego Komitetu Amsterdam-Pleyel, walczącego o powszechny pokój. Założycielem instytucji tej (1931 r.) był Barbusse, a teraz przewodnictwo spoczywa w rękach Romain Rollanda.

Malraux, jak zwykle, mówił krótko. Za każdym razem, gdy go widzę, w pierwszej chwili uderza młodzieńczość jego postaci. Nieomal chłopięcość. Drobna głowa, otoczona białym kołnierzem sportowej koszuli. Jest prawie — romantyczny: „Musset 20-go wieku".

Opowiada przebieg walk w Barcelonie. Jak pistolety, fuzje i dłonie kobiece zwyciężyły mitraljezy i armię. Poraz pierwszy w historji lud pobił regularne wojsko. Opowiada o nieznanej dotąd w historji bitwie radjowej. Komunikaty — to wezwanie, zachęta, porachunek. Rząd — co za paradoks — szuka pomocy: amunicji, środków technicznych, opieki sanitarnej, przedewszystkiem samolotów.

Masy ludowe, tak zdyscyplinowane, że każde nowe, bliskie im hasło, staje się sloganem. Odrazu przybiera formę melodji, popartą rytmem ruchu tysięcy ludzi. Rzucone przez Malraux wezwanie: „Aeroplany dla Hiszpanji" — wierzoru tego powtórzone było wielokrotnie. Umie on fascynować. Wzbudza wiarę w swe pragnienia, więcej, wzbudza w ludziach wiarę w ich własną wielkość. Mówi też oczyma i rękami. Kurczowo wbija palce w zielone sukno stołu. Stają się wielkie i drapieżne. Pochyla się nad stołem, to znów unosi się wgórę. Zielone promienie spojrzeń rozsyła na wszystkie strony sali. Nasiliwszy wzrokiem jeden kąt, zwraca się w inny. Wodzi oczyma po tłumie jak świetlnemi słupami, niby projektor, niby reflektor po niebie.

Unosi się, zapala, ufa każdemu swemu słowu, jakby już było spełnione. W Hiszpanji użył najnowszej broni — radja, ze stacji madryckiej zwrócił się do całego świata z błaganiem o pomoc — także moralną — dla zagrożonych zdobyczy wolności.

„Hiszpanja wolna, wolna, wolna!"

Słowa Malraux, powtórzone teraz tylko Francji, pokryto oklaskami, które posiadają dalszą, silną wymowę.

To było przed miesiącem, gdy Hiszpanja stała dopiero na krwawym progu swych miast, gór i kwiecistych miradorów. Walka trwa dalej. Bardziej niż kiedykolwiek sprawdzają się słowa Barbusse'a: „Dwie armje, które się zabijają, to jest jedna wielka armja, która ginie!"

Dotąd jednak świat prawdziwej kultury i miłości zgody oklaskami przyjmuje propozycję lorda Roberta Cecila, który na Międzynarodowym Kongresie Pokoju w Brukseli przedstawiciela rządu hiszpańskiego zaprasza do prezydjalnego stołu. Inni podziwiają jego odwagę — wobec Hitlera i Mussoliniego.

Malraux może pisze nową książkę. Po torturach chińskich, piekle niemieckiem — o hiszpańskiej inkwizycji w 20 wieku...

Nic nie pomógł, niczemu nie zapobiegło jego żywe słowo?

W każdym razie spełnił zadanie, postawione sobie i sztuce.

Trudno być człowiekiem, ale łatwiej stać się nim, pogłębiając łączność z innymi, aniżeli kultywując swą odrębność.

Ludzkość potrzebuje namiętności, ideałów i wiary artysty. On to bowiem wytwarza silny prąd, który jednoczy ludzi, choćby w pewnych tylko sprawach myślących jednakowo.

PAUL VALERY

UWAGI O SZTUCE

Najkosztowniejsze dzieła sztuki, subtelności rysunku, smakowanie w zmyślnym i trafnym ładzie doskonałości językowej, delikatność pewnych dwuznaczności matematycznych, precyzyjność, jaką można osiągnąć w badaniu spraw duchowych, wszystko to jest prywatną własnością kilku ludzi. Jeśli ich usuniecie, to któż potrafi oszacować wielkość straty?

*

Żywić się innymi, cóż bardziej zgodnego z naturą. Ale trzeba móc trawić. Lew to przecież przetworzony i zasymilowany baran.

*

Wielka sztuka to właśnie ta, której naśladownictwa są usprawiedliwione, godne, znośne i które jej nie unicestwiają ani dewaluują, jak i odwrotnie, jeśli nie szkodzi ona naśladownictwom.

*

Nowość! Pragnienie nowości!

Nowość jest jedną z tych trucizn podniecających, które stają się wkońcu potrzebniejsze od pokarmu. Z chwilą, kiedy zapanowały nad nami, musimy stale powiększać dozę i ostatecznie uczynić ją zabójczą.

Jakże to dziwne przywiązywać się w podobny sposób do najmniej trwałej części każdej rzeczy, której zaletą jest właśnie nowość.

Nie wiecie więc, że idee nowe muszą posiadać wygląd szlachetny, nie pośpieszny, ale dojrzały; nie niezwykły, ale istniejący od prawieka. Nie zrobione czy odkryte tego ranka, lecz tylko zapomniane i odnalezione.

*

Smakowanie wyłącznie w nowości oznacza degenerację umysłu krytycznego, bo nic łatwiejszego, jak sądzić o nowości dzieła.

Dzieło umysłu wtedy jest ważne, kiedy jego istnienie determinuje, przyzywa, obala inne dzieła już istniejące czy jeszcze nieistniejące. Czyni duszę zdolną do przyjęcia innych dzieł, zupełnie różnych. — Albo rozpoczyna albo kończy jakiś okres.

Prawie wszystkie książki, które cenię, a przedewszystkiem książki, które mi się na coś przydały, to były książki trudne do czytania.

Można odejść od nich, nie da się jednak przebiec je myślą.

Jedne przydały mi się, pomimo, że były trudne, inne właśnie dlatego, że takiemi były.

*

Wielkość poetów to możność uchwycenia mocnem słowem tego, co ledwo a ledwo dostrzegli myślą.

*

Trzeba być lekkim jak ptak, nie jak piórko.

*

Natchnienie jest to hypoteza, która zmniejsza rolę twórcy do roli obserwatora.

*

Styl „ozdobny". Ozdabiać styl! — Tylko ten umie naprawdę zdobić styl, kto jest zdolny do stylu prostego i skrystalizowanego.

*

To, co się pisze dla igraszki, inny bedzie czytał z napięciem i pasją.

*

To, co się pisze z napięciem i pasją, inny będzie czytał dla igraszki.

Człowiek zdobi się swojemi powodzeniami.

*

Nie lubimy tego, kto zmusza nas, byśmy nie byli sobą; nie lubimy również tego, kto zmusza nas, byśmy się okazywali takimi, jakimi jesteśmy.

Lubimy natomiast tego, kto wierzy, że jesteśmy tem, czem chcielibyśmy być i to jest głębią radości każdej sławy.

Trzeba wiele połączonego smutku i siły, aby się potrafić obronić.

*

Jeśli pojęcie „ja" jest nienawistne, kochać bliźniego jak siebie samego przemienia się w okrutną ironję.

*

Miłujmy naszych przyjaciół.

Kocham tych, którzy mnie pobudzają i tych, których ja pobudzam.

Coraz to dusza chwili przychodzi ku nam zzewnątrz.

*

Cóż jest najbardziej niecnego na świecie? Czy nie myśl? Bo oto ciało cofa się przed nieczystościami i zbrodnią. Podobna do muchy myśl dotyka wszystkiego. Ani obrzydzenie, ani żałowanie czy wyrzuty sumienia nie pochodzą od myśli. Są dla niej przedmiotem zaciekawienia. Niebezpieczeństwo ją interesuje i gdyby ciało nie było tak mocne, poprowadziłaby je w ogień przez głupotę i absurdalną, nastającą żądzę poznania.

*

Powody, dla których człowiek powstrzymuje się od zbrodni, są bardziej zawstydzające i lepiej ukrywane, aniżeli same zbrodnie.

*

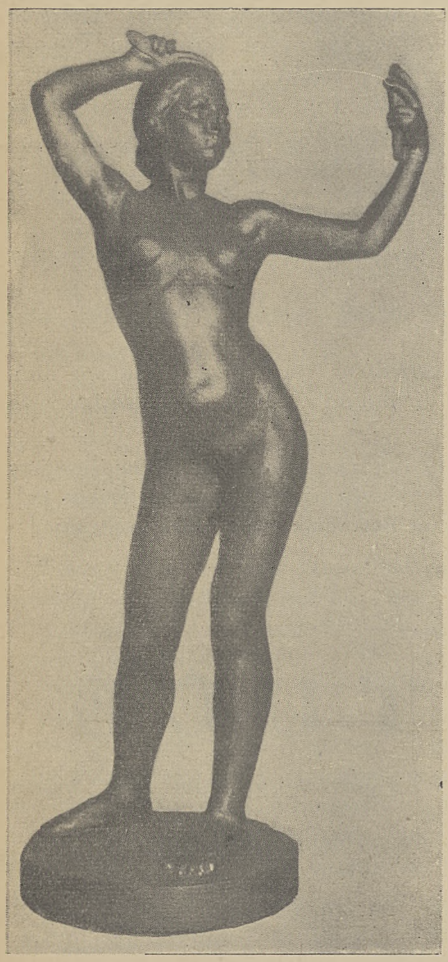
Małe, niewytłumaczone fakty zawierają w sobie zawsze możliwość przewrotu w interpretacji wielkich faktów.

*

Filozofja i nauka nie mogłyby były powstać, jeśliby ludzie, którzy się niemi nigdy nie zajmowali, nie czuli do nich żadnego pociągu, nie przypuszczali ich istnienia a nawet możliwości, nie byliby ustalili swem własnem życiem i działaniem zasadniczej podstawy, materji, języka, tajemniczości i trwałości.

wybrała i przełożyła *ANNA KOWALSKA*

Z WSPÓŁCZESNEJ PLASTYKI UKRAIŃSKIEJ



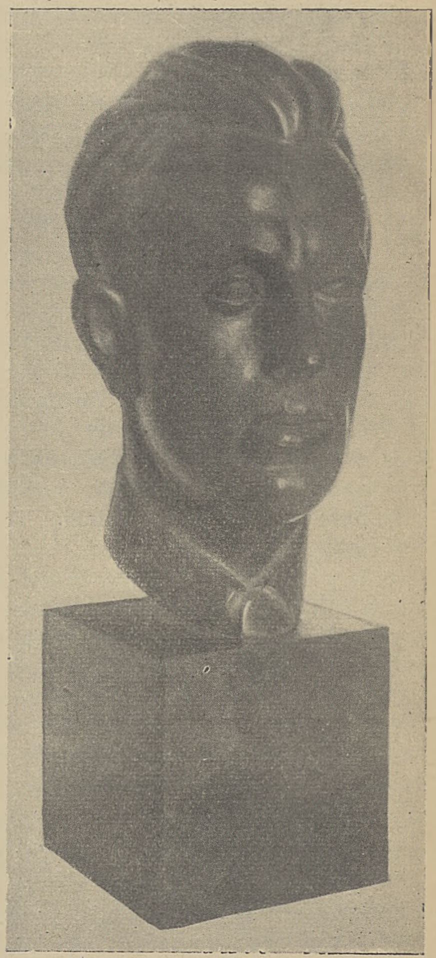
Akt

A. BRYŃSKI



Ilustracja (drzeworyt)

IWAN PADAŁKA



Głowa

E. KOLADYŃSKI

MARJAN PROMIŃSKI

RZYMSKIE NASTROJE

M N „Saturnia", Neapol, Rzym — w sierpniu

Fragment większej podróży, który będę się na tem miejscu starał ująć w jakie takie słowa, nie dlatego zasługuje na uwagę, że ja go właśnie wykroiłem z dość masowej zresztą i inflacyjnej pod względem wrażeń wycieczki, ani z tego powodu broń Boże, bym się uważał za doktora od faszyzmu albo katakumb. Kiedy powiem: balilla i cały prąd młodzieży italskiej to dla mnie „fiume" (fiume — głupstwo), nie znaczy to, bym naprawdę wiedział, co to jest balilla, znał jej organizację i ducha. Nie, przeciwnie, ja znam ze słyszenia „Legjon młodych", o balilli zaś wnioskuję z wyrazu twarzy chytrych, cherlawych młodzieńców, witających obcego turystę jako sympatyka faszyzmu — giovinezzą. Skąd ta pewność, pytam. Już mazurek Dąbrowskiego (Henryka) byłby wkładem daleko pewniejszym. I tak na każdym kroku. Nie znam, nie wiem, nie miałem czasu na przeczytanie odpowiednich ustepów w przewodnikach i prospektach, ograniczam swoją obserwację do odczuwania naskórkiem. Być może — powstałe stąd błędy i nieścisłości sądów nie będą gorsze od patosu „besserwisserów", którzy poto naprzykład jechali, by przypomnieć sobie pewien motywik z kaplicy Sykstyńskiej.

Zaczynam od „Saturni". „Saturnia" to piękny okręt. Ubiegłego roku jechałem „Piłsudskim". Taksamo twierdziłem, że to piękny okręt, może jeszcze dosiędę „Queen Mary", będę naturalnie przekonany, że to najpiękniejszy okręt; i cóż stąd za korzyść dla czytelnika? Śliczne mieścisko taki okręt, niestety mieszkałem na przedmieściu, kapitol zajęło Imperjum Brytyjskie. Klucz porozumienia z nacją anglo-saską był dosłownie kluczem od doskonałego Steinway'a, który stał w salonie, pozatem trochę książkowej angielszczyzny, i już zawarłem kilka sympatycznych znajomości. U nas panuje przekonanie, że muzykalność przeciętnego Anglika może się równać z muzykalnością średniorasowego buldoga, mimoto spotkałem wśród pasażerów „Saturni" fenomenalnego młodego muzyka, rodem z Ameryki, który poza biegłością świetnego pianisty rozporządzał kilkunastu stylami kompozycji, improwizując utwory o naprawdę głebokich zdaniach: to był Liszt, Chopin, Rachmaninow, Ravel.

Po drodze zawadziliśmy o ojczyznę Achillesa i Odysseusza. Niestety, owi legendarni bohaterowie musieliby się wyprzeć dzisiejszej Grecji. Nie wierzę, żeby Achilles był brudny, może nie używał mydła Palmolive, ale nie był brudny, port Patras natomiast jest brudny i to w sposób afrykański. Tak wyrafinowaną kulturę brudu widziałem tylko w algierskiej Kasbie. Już to również będzie symptomatyczne, że za najciekawszy objekt do zwiedzenia w mieście uznałem więzienie. Oczywiście ułatwiam sobie, robię niepoczciwe żarty, ale takie więzienie nasi meliniarze rozebraliby przez jeden dzień do ostatniej cegły; budyneczek, wyglądający jak spalony magazyn, napakowany w celach po ostatnie miejsce na łebek. Zzewnątrz strzegą tego przybytku żołnierskie posty, które swojem ustawieniem, patrolami na wieżyczkach imitują Sing-Sing. Usiadłem naprzeciw zakratowanych okien na korycie u studni i poświęciłem się niezbyt pilnej zresztą obserwacji. Naturalnie — więźniowie wojskowi, jeden z drugim o dwa dni spóźnił się z powrotem z urlopu. Wreszcie mnie skusiło zapytać, zdaje się po niemiecku; chodziło o to, aby tylko coś powiedzieć przy akompanjamencie gestów. Żołnierz rozgarnął zgraję dzieci i dwoma ruchami mnie objaśnił: co mianowicie ci złoczyńcy zrobili — złożeniem do strzału — strzelali, ruchem zwijającej się dłoni wbok — kradli. O, zaczyna mnie ta inscenizacja w stylu Andrzeja Pronaszki interesować. Ręce wyciągnięte przez kraty, skomlenie o papierosy i owoce. Jak widać, obowiązek prowiantowania więźniów spoczywa tu na szerokiej publiczności, krążą w koszykach przywiązanych sznurkami spore wałówki. Te razem wzięte kilkaset lat więzienia pośpiewują sobie tu i ówdzie. Trudno chyba znaleźć drugich równie pogodnych bandytów.

Neapol. Mówiąc o Neapolu, przemilczę Capri, nic nie powiem o Wezuwjuszu, który istotnie „pali cygaro" i ocieka płonącą lawą, nic o słynnem Akwarjum (bo go nie widziałem), natomiast zanotuję dwa zdarzenia: jedno, które nagwałt chciałbym nazwać politycznem — przybycie Mussoliniego na manewry, drugie już z gatunku ciekawostek terenu — oglądanie w nocy przy pochodniach tzw. małego Wezuwjusza, podszyte niewyraźnym kosmicznym dreszczykiem.

Mussolini przybył do portu hydroplanem. Właśnie powróciliśmy z nic nie znaczącej wycieczki na Capri i zaczęliśmy się sadowić w autobusach. Port jest zawalony okrętami. Z wielkiego statku wojskowego wyładowuje się konie. Każdy z bywalców kinowych pamięta, że w tygodniku PAT'a pokazywano nam sakramentalnego wielbłąda, transportowanego na pasach z lądu na okręt, czy odwrotnie, w nieznane koleje kampanji abisyńskiej. Ile razy przyszło mi oglądać owego wielbłąda zaklętego w capa, słyszałem za sobą komentarze kinochamów, rozważających czy ów zwierz jest aby żywy czy też „zdechnięty". Większość była zdania, że zdechnięty. Otóż konie z okrętu Jego Królewskiej Mości zachowywały się o wiele bardziej żywo i kopały powietrze jak wściekłe, pozatem obrazek był całkowicie w duchu „imperjalnym" i wyglądał na powrót zwycięskiej armji z pola chwały. Takeśmy też początkowo sądzili. Ale żeby tyle miesięcy powracali i powracali — niemożliwe. Już w tamtą stronę —tak. Spowrotem wykluczone, było ich przecież znacznie mniej. Istotnie to tylko manewry; kilka równych oddechów po gimnastyce. (Ubiegłego roku oglądałem kilka oddechów przed gimnastyką). Nagle hurkot motoru, hydroplan woduje w basenie, wśród neapolitańczyków znamienne zdenerwowanie, jak widać oczekiwano tutaj przybycia „Il Duce'a". Jest już i milicja, szpaler, kordon, w okamgnieniu dostęp do przystani zamknięty. Z aparatu wysiada do łodzi, widoczny z mojej pryzmy kamieni w odległości dwustu metrów, niski krępy cywil w kremowym stroju marynarskim. Tłum z brzegu trochę pokrzykuje: du-ce, du-ce. Mussolini nawet nie patrzy w tę stronę, rozmawia z asystą. Wychodzi na bulwar. Du-ce, du-ce, brawa — przeważnie z rąk polskich turystek. Ani nie spojrzał. Krótkim gestem powitał kompanję honorową i zamaszyście wiosłując ramionami zbliżył się do samochodu. Moje nieodparte przekonanie, któremu muszę dać tutaj wyraz, jest to — że Mussolini lekceważy tłum. Robi wrażenie trybuna, który jest swojej biernej masy, kiedyś porwanej obietnicami — pewny. Dzisiaj należy tylko spojrzeć w zamglone oczy ujarzmionych, żeby się upewnić o swojej własności. Owce, i to już gruntownie przestraszone owce, pod władczym wzrokiem magnetyzera. I tutaj właśnie nasuwają się pewne refleksje. Nie upłynął tydzień od chwili, w której miałem sposobność stanąć oko w oko z innym człowiekiem, jednym z najmożniejszych tego świata. Było to w Dubrowniku, a władcą tym był król Wielkiej Brytanji Edward VIII. Dwaj ludzi i dwie epoki, gasnąca nowożytna i wzbierająca średniowieczna. Średniowiecze z numerkiem II, albo neo-. Edward przyjechał do Dubrownika incognito, tłum wyległy na wąskie dalmatyńskie uliczki witał zrazu niepewnym, potem wesołym ruchem ręki od i do odkrytego czoła. Czarujący czterdziestotrzyletni młodzieniec, król i wciąż jeszcze dyktator mody — książę Walji, w granatowej koszulce i flanelowych spodniach, napierany przez falangę pachnących kobiet, przeciskający się w nieporządnym ordynku policji i witający tym swoim specjalnym ruchem dłoni, który spoczątku wyglądał mi na osłanianie się przed słońcem i obronne pogotowie w obcem otoczeniu. Wieczorem jadł obiad w hotelu Impe-



Przy toalecie (olej)
MICHAŁ ANDRIJENKO



Gra w karty
O. SOROCHTEJ



Ilustracja
M. AŁEKSIJIW



Rzeźba
WASYL MASIUTYN



Studjum
MIKOŁAJ HŁUSZCZENKO



Portret
W. MANASTYRSKI

rial w towarzystwie dziesięciu osób. Siedziałem przy stoliku opodal przy swoim obiedzie. Jadł i pił za dwóch. Notowano: śmieje się, mówi rękami, kołysze się na krześle. Potem tańczył razem z wszystkimi na ogrodowym parkiecie, podśpiewywał pod nosem melodję walca i gorąco bił brawo wszystkiemu. To był stary Król-Prezydent, w zatoce Neapolitańskiej widzieliśmy młodego, pilnego urzędnika.

Fumaróli (mały Wezuwjusz, resztki wygasłego wulkanu Solfatara), być może za dnia nie stanowią konkurencji dla wielkiego sąsiada, jako blizny tylko, zasklepiające się rany ziemi. Ale w nocy, oglądane przy pochodniach, robią silne wrażenie. Fumaróli są oddalone kilka kilometrów od miasta i leżą u podnóża rozsypanej góry. Dochodzi się do nich przez pola, wyglądające jak wytratowany sad, w mdłej, słodkiej nocy południowej, wysilonej słabym sierpem księżyca. Co to tak pachnie? Tuberozy? Wąskiemi ścieżkami sypie się wąż turystów, zespolony ciasno biodro przy biodrze, zwłaszcza męskie przy kobiecem. Wkrótce woń tuberoz przechodzi w duszący cuch siarki, robi się parno, cel widać przed oczyma, powiewające czerwone pióropusze dymu, w oświetleniu pochodni. Niektórzy z wyraźnym lękiem podchodzą do kanałów, warczących rozpaloną lawą, siarką, arsenem, nawet za rękę nie dają się podprowadzić do rozwalonych, buchających dołów. Bezwiednie (a może celowo) ściskają biodra (cudze), — stanowiąc żywy symbol obawy przed siłą kosmiczną. Może ten i ów w życiu codziennem jest zdolny do jakiegoś odważnego drań每stwa, ale wulkanu się obawia. Stoją więc turyści, przeważnie Adam przy Ewie, obiema stopami jeszcze w raju, u wrót piekła, do którego nikt ich dotąd nie wypędza.

Przed opuszczeniem południowych Włoch chciałbym jeszcze wspomnieć o Pompei. Naturalnie jaknajmniej o murach, wykopaliskach, purpurze pompejańskiej; takie rewelacje uznałby każdy za mocno spóźnione. Także duch nowoczesności, bijący z ruin, którym tak łatwo upija się turysta, musi podlec ostrożnej historycznej rozwadze. Mój Boże, wodociągi i lupanary, jeszcze znaleźć żarówkę Edisona nieco skamieniałą nie byłoby przeciw naszym oczekiwaniom. Prosty ,krótki okrzyk: a mówiłem! i jużby żarówka naprawdę oświetlała willę Vettich. Jednak analogje są nie tyle technicznej, co psychologicznej natury. Albowiem resztki starożytnych urządzeń i sprzętów, od jakichś instrumentów do manicure'u, puszek na farby, grubej biżuterji, do ołowianych rur wodociągowych i kaloryferów, dowodzą tylko słabej świtającej myśli ułatwienia sobie życia przy pomocy udogodnień technicznych, podczas gdy nowoczesny duch kapitalistycznej organizacji świata tkwił naprawdę w rzymskiej demokracji i dyktatorskiem cesarstwie, ale właśnie był hamowany przez brak mechanicznych warsztatów pracy. To był bankierski okres kapitalizmu, silnie już rozwinięty i wybujały, który jednak nie mógł sobie znaleźć naturalnego ujścia w masowej produkcji: ręce niewolnika to nie to samo, co tryby maszyny. Starożytność potrafiła wznieść swoje Deauville i Miami w murach pompejańskich, ale zabrakło jej Newtona, którýby pchnął subtelną myśl Seneki z torów filozofji życia na tory filozofji natury. Te przyczyny, jak również napór religij Wschodu, o bramińskiem, abnegacyjnem w stosunku do życia zabarwieniu, podcięły na piętnaście wieków myśl klasyczną. Dzisiaj stoimy w przededniu nowych ruchów germańskich i germańskich mieszańców, w przededniu psychicznych wędrówek narodów. Zaszczepienie terenów wysokiej kultury Europy i Ameryki szczepionką pradawnej, rodowej surowości i cnoty wydaje się być eksperymentem równie niebezpiecznym, jak opłakana wschodnia polityka zagraniczna rzymskich cesarzy. Surowość i cnota o miedzę sąsiadują z patologiczną niecnotą, trudno rozróżnić, czem jest bicz pokory i skromności, a czem bicz sadyzmu i masochizmu. Jeśli dziś już z dużą pewnością można powiedzieć, że średniowiecze nie okupiło morza krwi, grubych murów i twardych krat więziennych — garścią zabytków sztuki, to obawa przed nowym eksperymentem musi być tem większa, gdy stwierdzamy już od kilku lat symptomy nowej ery. Nic nie znacząca napozór fałszywa pruderja, zabraniająca naprzykład kobietom wstępu do pewnych ubikacyj tej samej willi Vettich, wyposażonej w bardziej swobodne rzeźby i malowidła, sygnalizuje wielkie niebezpieczeństwo moralne, pasy cnoty, grube mury, ciasne okna, brak powietrza i słońca. Czy oglądanie w marmurze pewnych ruchomych części ciała ludzkiego jest zdrożniejsze niż w daleko mniej doskonałej naturze? Albo badanie rękawków i pończoch przy wejściu do kościoła! Panowie możni tego świata, ramię kobiece nie jest wstydliwą częścią ciała!

Przed wjazdem do Rzymu należy zrobić rachunek sumienia. Nie poto, by się spowiadać przy jednym z wielojęzycznych konfesjonałów w bazylice św. Piotra, ale dla uprzytomnienia sobie swoich dotychczasowych wiadomości o świecie i jego zewnętrznym uroku. Wówczas łatwiej będzie opuszczając Rzym zdać sobie sprawę, jak niewiele się dotąd widziało nawet na głównych szlakach Europy. Krajobraz Rzymu da się tylko porównać z krajobrazem górskim, są to istotnie Alpy architektury, należy je zwiedzać w otwartym powoziku, zaprzężonym w lichego konia, bylejakiemi drogami i przedewszystkiem pomału i jeszcze raz pomału. Każdy załom muru, otwierający perspektywę na inny załom, kuty w niebieskiem powietrzu w barwach zwietrzałej terrakoty, należy tak sobie uprzytomnić, by wywołany w pamięci mógł prószyć wspomnieniem dziwnej ciszy, której się tutaj doznaje w najludniejszych dzielnicach miasta.

Zmierzając od zielonej wyspy Monte Fincio, z budynkami Palazzo di Giustizia, więzienia Św. Anioła i Watykanu daleko po prawej stronie Tybru, wjeżdża się w centrum licznemi zakosami, aby omieść wzrokiem najważniejsze szlaki i budynki, Via Vittorio Veneto, Piazza Barberini, Via del Tritone, Kwirynał, Font. Trevi, Piazza di Colonna, Panteon; i spowrotem do magistrali Corso Umberto I, na Piazza Venezia przed biało-złotą skałę pomnika Zjednoczenia. Za tą gigantycznie rozplanowaną kolumnadą zaczyna się już stary wykopaliskowy Rzym, Kapitol, Palatyn, miejsce przynajmniej kilkugodzinnych rozmyślań dla ludzi, związanych pewnym sentymentem z gruzami antycznego świata. Szczegóły Forum od łuku Septima Severa poprzez Atrium Vestae, łuk Tytusa aż do Colosseum ogląda się zazwyczaj w upalne przedpołudnie, z pewną dozą zaciekłości, jakby się odrabiało zadaną lekcję. Ale najpiękniej jest tutaj o zachodzie słońca, kiedy można już spokojnie przeżuwać swoją wiedzę o tem miejscu bez wglądania w ruiny, tocząc się zdala, za krwistemi murami Palatynu, na kołach najętej jednokonki w powrocie z Via Appia, — po świetnych asfaltowych szosach. Dorożkarz objaśnia, wskazując tu i tam szerokim ruchem bata: Termy, odarte ze świetnych marmurów przez renesansowych magnatów, Circus Maximus w zielonych świecach cyprysów.

A przedtem jeszcze Via Appia, droga obrzmiała od wspomnień, wąska, wsparta murkami ogrodów, znaczona różnemi stacjami: Termy Karakalli, kościołek „Quo vadis", katakumby św. Kaliksta, Porta San Sebastian. Skupione tutaj pomniki starochrześcijańskie promieniują dawnością swoich czasów. Może najbardziej sugestywne Katakumby odkrywają tajemnicę w zawiązkach ich myśli i sztuki. Kiedy się schodzi w podziemia i zaraz na wstępie natyka na zbiór płytek z jaskiniowemi niemal rysunkami i napisami, nabiera się pewności, że jest to kolebka prymitywu. Ruch religijno-społeczny, skupiający się w tych piwnicznych krużgankach, był w tej fazie ruchem niewolników i wydziedziczonych duchem. Zupełnie samotny i odosobniony tkwi tutaj śliczny grobowczyk arystokratki Caecilii Metelli, przedstawiający w białym kamieniu klęczącą postać kobiecą, zwinięta jakby muszla, z twarzą w posągowej, marmurowej ziemi. Między czarnemi ślepiami wnęk na trumny wybłyskują w liźniciach kaganka kapliczki: oto Wieczerza Pańska, namalowana przez jednego z wiernych, naiwnie i bez wyobraźni. Tamten pomnik jest późniejszy, tutaj mamy prawdziwą, niekłamaną datę prześladowań, wiek II. Kiedy na szerokim otwartym świecie w pełnym swoim blasku panowała sztuka helleńska, tutaj w podziemiach postanowiono wszystko ro-

bić odnowa, zarówno ręką malarza jak i myśla symbolisty; na ścianach znaki „christos" i paradoksalny gołąbek (wiary), karmiący się na winnej latorośli (nauki Chrystusa). W rzeczywistości gołąb nigdy nie próbuje smaku winogron, a świat jak widać męczy się swoją mądrością.

Zdać sprawę z pobytu w Rzymie? Nawet jeśli widziało się jedną dziesiątą rzeczy godnych widzenia? Nie, to niemożliwe! Trzebaby się tak zachłystywać: bazylika Św. Piotra, na zlecenie Juljusza II, pomysł Bramante'a, cud konstrukcji architektonicznej, mozaiki i marmury świeże jak dopieroco przekrojone salcesony, Pieta, i dalej w te pędy do Rafaelowskiej Fornariny w Museo Borghese, potem do „konającego Galla" na Kapitolu i do któregoś Apollina w Watykanie. Czysty obłęd. Lepiej już poniechać całkowicie tę część boskomuzealną, wyjść na ulicę, rozejrzeć się w tem co jest najświeższej daty i co może być nowością dla człowieka znającego Rzym sprzed pięciu lat.

Mussolini buduje „Forum Mussoliniego". Najprostszy i to nieprzychylny wniosek: to są piramidy. Ale prawie równocześnie trzeba dodać: użyteczne piramidy. Sportowy stadjon marmurowy obwodu jednego kilometra, ozdobiony girlandą gigantycznych posągów zawodników, we wstęgach trawy i cynobrowej bieżni, jest czemś tak pięknem i cieleśnie podniosłem, że zmiejsca się zapomina, ile ten drobiazg musiał kosztować. Zresztą Włochów mi nie żal, nie oni opłacali koszt tych piramid, siebie muszę żałować; to ja buduję stadjon, to ja skromny turysta stawiam „cita universitaria", ja — choć brzmi to paradoksalnie — osuszam błota pontyjskie. Jeśli się weźmie pod uwagę nieprawdopodobną drożyznę tamtejszą, zunifikowany w rękach państwa system biletów na zwiedzanie kraju i tę już zdawiendawna zakonspirowaną atmosferę snobizmu patrzenia we włoskie mury z każdego kąta ziemi, — łatwo zrozumieć, skąd po kilkunastu latach zbierania. z rozbitej skarbonki można wydobyć i wojnę i dobrobyt. Świetna oprawa urbanistyczna, którą otrzymały ostatnio wykopaliska, błyszczące jak drogocenne kamienie w pasach asfaltowych jezdni, bulwarów i trawników. dalej — szybko rozrastająca się na peryferjach dzielnica wielopiętrowych bloków mieszkalnych, wspomniana już cita universitaria. uczelnia, laboratorja, kliniki, domy studenckie, wreszcie z mokradeł wyrosła Littoria i inne miejscowości. wydarte błotom Kampanji — oto asumpt do chwały obecnego reżymu. Nie należy się jednak łudzić, aby komu innemu nie zaś sobie osuszali faszyści pontyjskie tereny pod uprawę. Wywłaszczeni magnaci muszą się kontentować smakiem rzodkiewki ze swoich pól; tę rzodkiewkę mogą nabyć na targu w Rzymie. Kombatanci dostają działki, kombatanci karmią pęczniejące miasto Tak się odbywa wtóre feodalne rozdawnictwo dóbr królewskich, lub raczej według starożytnych tradycyj — osadzenie legjonistów na roli.

Ostatnie popołudnie pobytu w Rzymie poświęciłem przejażdżce do Tivoli. Tivoli słynie z kiczowatej dla mnie willi d'Este (w. XVI), sławnej przez swoje rozliczne i wymyślne fontanny, i z ruin pałacu Hadrjana, znajdujących się opodal głównej autostrady. Zestawiając te dwa już niezamieszkałe objekty.., aż kusi powiedzieć: week-endowe. dochodzi się do przekonania, że Hadrjan miał lepszy gust, no i djabelny rozmach. Trzebaby się wciąż powtarzać, żeby wyliczyć do ostatniej ubikacji wszystkie ma'e i wielkie termy, atria, peristyle, świątynie-kaplice, sale „filozofów", o rozwalonych murach fortecznych, z małemi wypryskami dawnych stiukow i z dobrze zachowanemi mozaikowemi posadzkami. Usiąść tutaj wśród odosobnionych ruin na jakimś oberwanym kapitelu i patrzeć długo i niepotrzebnie jak starożytni malowali korytarze (taki fragment mam właśnie przed oczyma) — to szczególne uczucie, tak już dokładnie zapodziane w snobizmie, że wcale niesnobistyczne. Ciepło, pogoda się leje jak z niebieskiego ula, skąpy wiatr przynosi suchą woń ostów kampanijskich. No tak, olbrzymie cyprysy w alei.. zaraz, zaraz, przecież po Hadrjanie nikt nie zamieszkiwał tego pałacu, a więc są to drzewa sadzone niemal jego ręką, jedyne żywe istoty. które pamiętają świetność Cezarów? Albo nie. Zasiały się później, może w próchniejących resztkach dawnej alei; w każdym razie są bardzo stare. Mniejsza o to. Gorzej, że jutro trzeba wyjeżdżać. Wprawdzie do Wenecji..

Marjan Promiński

WOLNA TRYBUNA

SMIERDIAKOWSZCZYZNA

„Sam tytuł ostatniej książki Timofiejewa „Inny horyzont" świadczy, że autor świadomie akcentował odmienność tej książki, mając na uwadze pierwszą".

„Otworzył się przed nim „inny horyzont" przeżyć, nowe perspektywy zagadnień o znaczeniu już nie subjektywnem, lecz ogólnem i społecznem. Z postawy biernej, poddającej się uczuciom i naporowi świata wrażeń z zewnątrz, przeszedł autor do postawy czynnej, aktywnej względem siebie i świata, względem swych wrażeń uczuć i myśli — słowem zdobył światopogląd i panowanie nad nim, ustanowił zakres pola widzenia, miarę jego eksploatacji, rytm wewnętrznego porządku wrażeń i napięć uczuciowych."

„To świadome panowanie nad napływem wrażeń z zewnątrz i nad anarchizmem żywiołu lirycznego w sobie zaznacza się najdobitniej u Timofiejewa w selekcji tematycznej jego wierszy, *wybredności pracowitej formy* i w skończonym wyrazie wzajemnego ich układu."

„Ostatnia trzecia część książki „Epoka" ...to całkowite wyjście z siebie, to *zupełna dojrzałość* w sensie poety społecznego. Tu też autor *najpełniejsze święci tryumfy artystyczne*, dając tam *doskonale formalnie* i głębokie treściowo utwory..."

„Poszukiwanie dla własnego światopoglądu *własnego wyrazu artystycznego* i *osiągnięcia* w tym mozole pełnobrzmiącego *rezultatu* — oto „Inny horyzont" Grzegorza Timofiejewa."

Jakież to pióro tak elokwentnie pochwala moje wiersze? To samo — które w 19 nr. „Sygnałów" w art. „Co to są auspicje?" określa „Inny horyzont", jako tomik „kompilatorski". Przytoczone bowiem powyżej fragmenty pochodzą z recenzji Piechala z „Innego horyzontu", drukowanej dnia 24 III 1935 r. na łamach łódzkiego „Głosu Porannego". Widocznie, wystarczy Piechalowi zmienić stalówkę, aby o jednem i tem samem pisać inaczej. Wybredność pracowitej formy, zupełna dojrzałość, tryumfy artystyczne, doskonałe formalnie i głębokie treściowo utwory, własny wyraz artystyczny, mozół i pełnobrzmiący rezultat — wszystko to zmieniło się w „plagjaty" i „kompilacje".

W odpowiedzi na tego rodzaju „oskarżenie" mógłbym nasypać całą kupę piechalowych fragmentów, zdań i metafor, wziętych z autorów dawnych oraz współczesnych, zarówno polskich jak i obcych. Naprzykład. —

Słowacki (Do Matki):
Syn twój na sztandarach jak pies się położył
Piechal (Elegje cał., str. 50):
Na sztandarze tej prawdy jak pies się położę.

Jeszcze Słowacki. Proszę porównać retorykę XIX ustępu w poemacie „Szwajcarja" z konstrukcją retoryczną ustępu V „Garści popiołu" Piechala. Koniec wieńczy dzieło. Więc u Słowackiego:

I co dnia, budząc mnie, fontanny płaczą.

A u Piechala:

I co rano, gdy budzę się, sieroty płaczą.

A teraz coś ze współczesnych. —

Broniewski („Dymy"):

I żyć warto i umrzeć warto.

Piechal „komentuje" to zdanie w sposób następujący („Garść popiołu", str. 23):

Żyć... nie warto, ale umrzeć warto.

Czechowicz (wiersz „Synteza", druk. w „Dźwigarach" 34 r.):

Głowa: człowieczy kwiat.

Piechal rozwadnia tę metaforę („Srebrna waga", str. 22):

Głowa jak kwiat na łodydze...

Zajrzyjmy jeszcze do obcych.

Jesienin:

Księżyc będzie płynął niebem,
gubiąc wiosła po jeziorach.

Piechal przerabia „jeziora" na „topiel poranną" i „własny" dwuwiersz gotów („Krzyk z miasta", str. 60):

Księżyc zgubił wiosła
w topieli porannej.

Oto przykłady. Jakże je nazwać? Auspicje? Zapożyczenia? Plagjaty? Przyganiał kocioł garnkowi a sam smoli.

Pozostawmy jednak tę metodę wyskubywania naszemu arcyoryginalnemu autorowi. Osiąga tu mistrzostwo nielada. Potrafi przecież wyskubać skadciś mój młodzieńczy z druku książkowego wyeliminowany wiersz („Trzy zwrotki") i wtrynić zręcznie miedzy omawiane wiersze „Innego horyzontu" jako utwór rzekomo aktualny.

Przejdźmy raczej do meritum sprawy — powodu wystąpienia Piechala. Powodem tym jest rzekoma chęć zaprotestowania „przeciwko zbyt bezceremonjalnemu postponowaniu krytyka". Patrzcie no, jak wysoko ceni nasz autor wielmożne osoby krytyczne! Jednakże o prawdziwym stosunku Piechala do krytyków świadczy najlepiej niesłychane potraktowanie przez niego Napierskiego — za dość ujemne, jakkolwiek objektywne recenzje z „Elegji całopalnych" i „Garści popiołu" w „Wiadomościach literackich". Piechalowi recenzje te nie podobały się i dosłownie opluł i zmieszał Napierskiego z błotem na łamach łódzkiego „Głosu Porannego". Teraz zaś rozdziera szaty i lamentuje nad „bezceremonjalnem" potraktowaniem krytyka. Cóż za obłuda!

Rozpatrzmy sam fakt jako taki Zawodziński przypiął mi „czastuszkę" tam, gdzie ślad polskiej piosenki ludowej. Piechal usiłuje ten rażący błąd niekompetencji jakoś wytłumaczyć: powiada, że to w ostateczności wszystko jedno, bo Timofiejew „ściągnął żywcem z Kolberga". Zestawmy teksty: —

U Kolberga:

Chodził do mnie po wianeczek
Jak nieprawy kochaneczek.
Rozgniewał się, żem wierzyła,
Żem dzieciątko mu powiła.
Chodziliście wszyscy za mną,
Jakem była prawą panną.

i t. d.

U mnie:

Chodził do mnie po wianeczek
Mój milenki kochaneczek.
Szeptał czule do wieczora,
Aż z tych szeptów byłam chora.
Noc syczała — uwiedziona,
A on wołał — żona — żona...

i t. d.

Zestawienie powyższe wskazuje, że tekst mój wzoruje się na motywie ludowym, zapisanym przez Kolberga. Rzecz tłumaczy się dostatecznie jeżeli weźmie się pod uwagę, że utwór „Miłość uliczna" (z którego pochodzi sporny fragment) jest *poezjomontażem stylizowanym*, w którym dziewczyna śpiewa ludowo-miejską piosenkę. Wkładając piosnkę w usta dziewczyny, wolno mi było podać oryginalny tekst ludowy (mniejsza z tem z jakiego zbioru) — wolno mi też było, korzystając z gotowych już wzorów, skomponować piosenkę niby to ludowomiejską. Jest to już rzecz autora. Wyspiański w „Weselu" użył tekstu ludowego „A jak będzie słońce i pogoda" i nikt mu nie robi z tego powodu zarzutów.

Zważywszy powyższe, wystąpienie Piechala nosi wszelkie cechy napaści osobistej. Jednakże „oskarżyciel" jest zbyt sprytny, aby przy jednym ogniu nie upiec odrazu dwu pieczeni.

Osobiste porachunki ze mną — to jeden profit. Z drugiej strony nasz wysoko moralny autor z usłużnością gigolaka podlizuje się krytycznemu potentatowi z „Wiadomości literackich". Mianowicie, usiłuje zbagatelizować różnicę między młodem pokoleniem a Zawodzińskim (casus Żagaryści, Łobodowski, Czechowicz, Czuchnowski, „Okolica poetów" i t. d.) i powiada, że wszystko to są pretensje malkontentów niedość przez rzeczonego krytyka pochwalonych. I dalej już nie szczędzi Zawodzińskiemu pochwał. Ze „stoi samotnie", „niezwiązany z żadną grupą".. Gdy i owszem naczelny krytyk „Wiadomości literackich" (przynajmniej w korzeniach psychicznych) złączony jest ze skamandroepigonizmem. Że ma przyrodzone odczucie artystyczne, gdy i owszem pochwala w jednym szeregu Żytomirskiego, Jastruna i Zbierzchowskiego lub lekceważenie Borysa Pasternaka (ponoć nie dorównuje Achmatowej!) — na-

LOLA SZERESZEWSKA

Marja Stuart

Dwadzieścia lat purpury, dwadzieścia więzienia,
Życie na równe części, jak jabłko, przecięte
Słodkim sokiem spęczniałe, gorzką rdzą przejęte,
Zarówno pełne wzlotów i pełne znużenia.

Już zwolna się włos złoty w biały włos zamienia,
Już oczom blask spopielał, jadem łez zatruty,
I padły na mnie krzyżem, ciężarem pokuty
Umarłych dni szalonych skrwawione wspomnienia.

Nie znam snu, ni spoczynku. O każdej dnia porze,
O każdej porze nocy mogą przyjść siepacze —
Zmówię ostatni pacierz, purpurę nałożę,

Poraz ostatni niebo przez kratę zobaczę,
Sama siebie jak wieniec mym ofiarom złożę,
I sama krwi rozpaczą nad sobą zapłaczę.

MIROSŁAW ŻUŁAWSKI

Wiersz o zbłąkanym gaździe

Nie zmienią się zielenią w połoninach rzeczy
zmierzch gwiazdom oczy przemyje we mgłach
stygnie płaj chłodem — wieczór pośród mleczów
zwonnieje w noc od traw

przeminą, przejdą stada wodopojem
ku świerkom pełnią rosnącym w cień
cierpko cieknie dosytem w zmierzch bladych udojów
zamknięty w woryniach sierpień

klony w pokłonach na rozkrzyżach ścieżyn
i znów kroki splątane w prosty bezkierunek
gazdo obcy, noc słowom otwarta naoścież
gorzknieje od słów piołunem

miękko ta ścieżka donikąd się pnie
i już żadnym nie ziści się zworem wśród malin
gazdo, księżyc pobratym usnął w świeżem sianie
i cóż? szczekanie psów w stajach nad płajem?

...gdy zbielały popiołem w połoninach zioła
znów świerki cieniem podeszły w zrąb
świtem w błękitach zwiotczały aniołów
zaniosło mgłą od łąk.

UPTON SINCLAIR

NIEUBŁAGANA NEMEZIS*)

Bardzo dawno temu posłał mi ktoś z Anglji pierwszą powieść Józefa Conrada „Szaleństwo Almayera" i od tego czasu śledziłem pilnie wszystkie jego następne książki. Nabyłem „Jądro ciemności", „Lorda Jima" i „Młodość". Wszystkim moim znajomym opowiadałem o nich z zapałem. Kiedy jednak Conrad stał się sławny, poczułem lekki gniew, — tak długo należał do mnie, że niechętnie dzieliłem się nim z tymi, którzy go nie rozumieli. Jego późniejsze dzieła były znacznie słabsze, jak dzieła wielu starych ludzi i z dużą przykrością znosiłem to, że krytycy chwalili właśnie te gorsze książki, co należało się wcześniejszym utworom.

Śmierć Conrada spowodowała ożywioną dyskusję nad „romantyzmem" jego dzieł. W istocie jednak był on najprawdziwszym realistą. Dzieła jego sprawiają wrażenie romantyzmu, ponieważ zarówno charaktery jak i miejsca akcji wydają się nam obce i dalekie. Dla Conrada natomiast nie były one ani obce, ani dalekie; objechał on owe wschodnie morza i znał tych ludzi; ich tragiczne losy były dla niego tak powszednie, jak dla nas ruch tramwajowy.

Wszyscy krytycy są zgodni w tem, że Conrad był pełnym typem „czystego" artysty, który obdarzył nas nieśmiertelnemi powieściami, bez najmniejszego śladu tendencji. Mnie wydaje się to nieśmiertelnym żartem: albowiem żaden pisarz nie używał bardziej świadomie rzemiosła literackiego do celów propagandowych, jak właśnie Józef Conrad. Prowadził tę propagandę oczywiście z olimpijskim spokojem człowieka, który jest pewny swojej sprawy i nie obawia się krytyki. Czasem jednak potyka się on o jakąś osobistość czy zapatrywanie, które zdają się zagrażać jego poglądowi, wtedy Zeus marszczy brwi, jego oczy ciskają błyskawice i widzimy wielkiego olimpijczyka, grzmiącego w zaciekłej złości.

To dziwne, ten mistrz angielskiej prozy pochodzi z Polski i rozpoczął koleje swego losu jako marynarz francuskiego okrętu na Morzu Śródziemnem. Urodzony w r. 1857, przybył, mając 21 lat, do Anglji, służył w brytyjskiej marynarce handlowej, został kapitanem i miał prawie czterdzieści lat, gdy ukazała się jego pierwsza powieść. W czasie długich nocy na samotnych cichych morzach, chodzi ten człowiek, pełniąc straż, tam i spowrotem po pokładzie statku. Rozmyśla nad życiem i dochodzi do jego istoty. Jednakże nie do tej oficjalnie poleconej przez rodaków. Ten kapitan marynarki handlowej nie modli się do Najświętszej Panny o opiekę nad statkiem, ani za dusze znajdujących się na pokładzie, nie uznaje też oficjalnych form swojej przybranej ojczyzny, w której kościołach modli się tłum:

O Ty, co silną ręką Bożą,
Chronisz okręty na wzburzonem morzu,
Ty, który nad głębiami przewodzisz wspaniale,
Powstrzymaj wściekle szalejące fale,
O Boże, uszy na te modły zwróć,
Niechaj nie zginie nasza nędzna łódź!

W dziełach Józefa Conrada niema ani bogów ani bogiń. Nad wszechświatem rozciąga się ciemne, zagadkowe przeznaczenie. Conrad sam to określa — „Nieubłagana Nemezis czatuje". Używa klasycznego symbolu i wyraża w ten sposób strach czterech różnych narodów: Greków, Polaków, Anglików i Malajów. „Nieubłagana Nemezis" jest wrogiem ludzi. Ludzie walczą z nim, ale prawie zawsze zostają pokonani i zniszczeni, zarówno dobrzy, szlachetni i zdolni, jak tchórze i słabi.

To są fakty życia ludzkiego. Nasuwa się przeto pytanie: co powinien człowiek czynić? — Przedewszystkiem należy pojąć otaczający nas świat. — Dlatego ten wielki pisarz pracuje niezłomnie, z religijną gorliwością nad wcieleniem swego poglądu w postacie i epizody. Nie należy dać się zbić z tropu: jego znakomite i wzniosłe dzieła są powieściami tendencyjnemi, pisanemi z zamiarem pouczania zupełnie tak samo, jak niedzielne egzorty, w których opowiada się o małym Bobbie, który wpadł do stawu, bo nie słuchał matki i w niedzielę łowił ryby. Głębokiego morału nie wplata się przypadkowo w dzieło sztuki, podobnie jak nie z przypadku powstaje zegar. Gdy pochłania się wysubtelniony pesymizm Conrada, to należy zdać sobie sprawę, że uczęszcza się na niedzielne egzorty agnostycyzmu.

Ale ludzie muszą nietylko poznawać, lecz także działać. W tym celu otrzymują słuchacze nakazy moralne. Powinni łączyć się przeciw nieubłaganej Nemezis, która chce ich zniszczyć. Te zasady życiowe muszą im tak głęboko wejść w krew, by im instynktownie podlegali — bowiem nikt nie wie, w jakich okolicznościach Nemezis go pokona; czy to jako pożar na pełnem morzu, czy jako burza, katastrofa, niewidzialna skała podwodna, pędzący wrak*), czy też jako powolne, niedostrzegalne zamieranie duchowe i cielesne.

O jakie nakazy chodzi? Odpowiedź: o nakazy brytyjskiej marynarki handlowej. Jej głównym celem jest ochrona okrętu posiadającego ogromną wartość. Mamy przeto w miejsce urojonego Boga w domniemanem niebie, niejasne wyobrażenie posiadacza na ziemi. Ten posiadacz jest siłą, która stworzyła żeglugę i utrzymuje ją w ruchu. Jemu należy się wierność załogi i oficerów. Jeśli dokładnie zastanowimy się nad agnostycyzmem Conrada, okaże się, że tkwi on u podstaw kapitalizmu. Okręt jest od setek lat źródłem naturalnej i spontanicznej autokracji, która wyłania się ze stale grożącego niebezpieczeństwa. Dlatego też oficer marynarki jest najzupełniejszym, najbardziej instynktownym snobem na świecie, a oficer marynarki handlowej, najdoskonalszym naganiaczem. Gdy taki oficer marynarki znajdzie się na lądzie i musi zająć się problemami lądowemi, nic dziwnego, że daje się poznać jako hałaśliwy i zapalony konserwatysta. W jednej z książek znajdujemy — nie przypadkowo — bojowniczkę o sprawę kobiecą i dowiadujemy się przy tej sposobności, co Conrad sądzi o tego rodzaju kobietach. Wywołuje w nas wrażenie starego, zgryźliwego brytyjskiego bywalca klubowego, który chciałby głowy wszystkich myślących kobiet na jeden kark nasadzić, aby ten kark ukręcić.

W powieści „W oczach Zachodu" poznajemy polityczną orjentację Conrada. Ma on odwagę w książce, napisanej za czasów cara, przedstawić sybirskiego uchodźcę, który naraża swoje życie, aby obalić okrutną tyranję, jako odrażające, antypatyczne stworzenie. Bogata kobieta, która mu pomaga, nie posiada żadnych wartości moralnych, krąży o niej mnóstwo skandalicznych historyjek. Conrad charakteryzuje tutaj rewolucyjnych socjalistów jak typy, które spotyka się na herbatkach w „dobrem towarzystwie", gdzie wytworne panie, wzruszając swemi białemi ramionami i paplają ze snobizmu. Ta książka ogłoszona w 1911 roku była zapowiedzią białego terroru.

Aby należycie zrozumieć Conrada, trzeba studjować jego opowiadania morskie. Odkryje się wtedy, że jak Meredith stawia w miejsce Boga — brytyjski system kastowy, zaś O. Henry — Standard-Oil-Company, tak Conrad widzi Boga w kapitalistycznym posiadaczu okrętu. Jeżeli zanalizujemy jego dzieła z punktu widzenia materjalizmu historycznego, to zobaczymy, że nieubłagana Nemezis nie jest niczem innem jak zorganizowaną chciwością, która wyzyskuje niezorganizowaną nieświadomość.

Przeczytajmy n. p. najbardziej czarującą z jego opowiadań morskich „Młodość". Bohater płynie w starem pudle jakiegoś okrętu, które rozpada się pod jego stopami. Jedno niepowodzenie przychodzi za drugiem, ale bohater jest młody, nie przerażają go więc niebezpieczeństwa i nieszczęścia. Wkońcu okręt tonie, lecz wszystko to jest tylko wspaniałem przeżyciem młodości; ona śmieje się z Nemezis i żyje dalej, aby powtórnie podjąć z nią walkę.

Jeśli sami jesteśmy młodzi, kiedy czytamy to opowiadanie, serce skacze nam w piersi i czujemy się jak bogowie. Co jednak odnajdujemy w niej, gdy znowu bierzemy ją w dojrzalszym wieku? Straszliwa siła, którą uważaliśmy za żywioł, za niebezpieczeństwa głębin, staje przed nami jako wcale nie tak romantyczna praktyka ubezpieczeniowych towarzystw okrętowych. Jeśli się posiada okręt, który się starzeje i jest niezdolny do wyruszenia na morze, niezbyt chętnie powierza mu się wartościowy towar i życie ludzkie. Jeżeli się jednak odkryje, że można okręt i towar ubezpieczyć i więcej pieniędzy zarobić, gdy to stare pudło zatonie, niż gdyby zostało sprzedane jako grat, pozwala mu się tak długo tłuc po morzu, aż się rozpadnie. A młodzież w szkołach i wyższych uczelniach rozmyślnie utrzymywana w nieświadomości przez wpływy kapitalistyczne, uważa za bohaterstwo wyruszenie na morze i podjęcie beznadziejnej walki z żywiołem.

Opowiadają, że gdy Józef Conrad został kapitanem okrętu, powziął gwałtowny zamiar przepłynięcia przez cieśniny Torresa, które są szczególnie niebezpieczne. Chciał je przejechać, ponieważ wiele o nich czytał. Właściciele okrętu zgodzili się na to, a krytycy byli zachwyceni i rozentuzjazmowani „romantyzmem" właściciela. Krytycy są bowiem zdecydowanie naiwni i niewinni i tylko złośliwemu grzebaczowi brudów przyszłoby na myśl dowiadywać się o wiek okrętu i wysokość stawki ubezpieczeniowej.

Kapitalistyczna organizacja żeglugi morskiej jest pełna tego rodzaju faktów. Weźmy n p. „linję Plimsolla". Pewien angielski robotnik, który został fabrykantem, lecz mimo to nie zapomniał o klasie, z której pochodził, poświęcił swoje życie ratowaniu tych, których wysyłano na morze „w pływających trumnach". Wybrany do parlamentu, wniósł projekt ustawy, w myśl której okręty mogły być naładowane tylko do pewnej granicy, do t. zw. „linji Plimsolla". Gdy projekt jego nie został przyjęty, groził on posłom pięścią i nazwał ich łotrami. Oburzeni tem posłowie, chcieli go zrazu wykluczyć. Nie zdobyli się jednak na to i pozostawili mu dziesięć dni do namysłu. Projektodawca przeprosił ich i projekt został przyjęty. Godny podziwu kompromis dla reformatora.

Sucha statystyka wykazuje, że po wprowadzeniu tej ustawy w życie, tysiące marynarzy uszło „grozie żywiołu" i „nieubłaganej Nemezis" Conrada. Wiele lat była „linja Plimsolla" Świętą Trójcą tysiącom ludzi morza. Była Ojcem, Synem i Duchem Świętym, łagodnym i dobrym Jezusem, Najświętszą Marją Panną, Matką Bożą, zastąpiła wszystkich świętych kalendarzowych, apostołów, szlachetną armję męczenników, proroków, chóry anielskie i archaniołów, ba, nawet cały świat ogarniający kościół. Jednakże ta boska opieka kosztowała corocznie brytyjskich właścicieli okrętów kilka miljonów funtów. Dlatego wypłacali oni znaczne sumy swoim torysom i liberałom na kampanje wyborcze, oddali władzę posłusznemu sobie Dawidowi Lloyd George'owi, i ustawa została zniesiona. I nawo tysiące marynarzy pada ofiarą nieubłaganej Nemezis.

Cóż na to Józef Conrad? Jako człowiek morza zna on te sprawy. W książce „Murzyn z załogi Narcyza" szydzi ze zjadliwą ironją z wszystkich tych, którzy usiłują ratować życie marynarzy. Trzeba to miejsce samemu przeczytać, aby odczuć jego pieniącą się wściekłość.

> Pamiętam, widziałem raz w Kardyfie załogę przeładowanego statku, — ostatecznie znów tak bardzo nie był przeładowany, tylko, że jakiś podtatusiały jegomość z białą brodą i parasolem zjawił się na bulwarze i zaczął ludziom gadać. Okropna to rzecz — powiada — zatonąć podczas zimy i poto tylko, żeby właścicielowi okrętu napędzić do kieszeni kilka funtów więcej. Użalał się nad ludźmi, omal nie płakał, rzetelnie mówię; — palto miał niby wielki żagiel, a kapelusz jak żagiel mały górny. Chłopcy — zgoda! Powiedzieli, że nie chcą w zimę tonąć, i myśleli, że tatuś będzie za nimi przed sądem świadczył. Liczyli, że ta awantura zapewni im na dwa — trzy dni labę. A sąd skazał ich na sześć tygodni ciupy, bo okręt nie był przeładowany. Tak przynajmniej ustalono w sądzie. W całym porcie w Penarth nie było ani jednego przeładowanego okrętu. Zdaje się, że ten stary oszust był zapłacony przez jakieś takie towarzystwo, żeby śledzić przeciążone okręty, ale znał się na tem, jak koza na pieprzu. W gospodzie, w której mieszkiwam, zmówiliśmy się w kilku, żeby tego starego łotra skąpać w doku. Tropiliśmy go, ale przepadł bez śladu, jak tylko wyślizgnął się z sali sądowej. Tak, tak. Zasądzono ich na sześć tygodni ciężkiego więzienia...

Wybrzeże kalifornijskie, na którem żyję, jest ulubionem miejscem zdobyczy myśliwskich czyhającej Nemezis. Wzdłuż całego wybrzeża mało jest portów i znajdują się niebezpieczne skały podwodne; nieustannie wpadają na nie okręty i rozbijają się. Czasem są to ogromne statki pasażerskie. Setki ludzi znajdują się w niebezpieczeństwie i ratują się z największym trudem przy pomocy pasów ratunkowych. Gazety wypuszczają ciągle nadzwyczajne wydania o wypadkach, reporterzy dokazują cudów bohaterstwa, aby jako pierwsi mogli opublikować fotografie tonącego okrętu. Publiczność czyta sprawozdania z katastrofy i zgrozą

---

*) Artykuł z książki (w przekładzie niemieckim) „Die goldne Kette oder die Sage von der Freiheit der Kunst", Berlin, Malik-Verlag.

*) Wrak — okręt rozbity wskutek burzy.

---

zbyt temu nie przyświadczają. (Stąd chyba czeste wsypy w wystąpieniach krytycznych Zawodzińskiego).

Ten mały spryciarz, jak nazwał Piechala we „Wspólnym pokoju" Uniłowski, w zaskarbianiu sobie względów Zawodzińskiego nie przebiera w środkach i ostatni zapożycza ze szmat endeckich. Zestawia demagogicznie moje nazwisko o rosyjskiem brzmieniu z nazwiskiem Zawodzińskiego, zasłużonem „na wojnie przeciw najeźdźcy" — i oburza się, że oto ja śmiem o Zawodzińskim cokolwiek ujemnie pisać. Bo przecież on — zasłużony „na wojnie przeciw najeźdźcy".

Wszystko to razem wziąwszy jest obrzydliwe. Parę miesięcy temu otrzymałem od Piechala jego ostatnią książkę („Srebrna waga") z napisem „Kochanemu Grzegorzowi — z czystej przyjaźni". Dzisiaj, wczorajszy przyjaciel pióro, nieobeschłe jeszcze od czułej dedykacji, macza dosłownie w ścieku rynsztokowym i wypisuje pod adresem „Kochanego Grzegorza" najróżniejsze kalumnje.

Czyż nie jest to jeszcze jeden objaw dzisiejszej Smierdiakowszczyzny?

Grzegorz Timofiejew

WŁADYSŁAW JAWORSKI

* * *

KRYSTYNIE CELIŃSKIEJ

Kwiaty kolorem zwierzają Ci się z jesieni,
za oknami przechodzą echa. Jest coraz puściej,
gdy pamięć żalu otulona w dłoni przymglenie
już mnie Tobą zamyślonego nie opuści.

Tkliwie nucą kobiety w porankach utęsknień
pod wybladłemi konturami jakiegoś miasta,
gdzie łagodność domów rozwiewa się jak czas klęski
i stąpasz w wilgoci klombów, w najświeższych blaskach.

Za Tobą huczy mrok i mosiądz zamykanych bram,
jeszcze w wyłomach ogrodu na placz się przemieni bunt...
Średniowieczną nocą ja tylko strzegę Ciebie sam,
a wysoko z baszt fortu zasmuca chwiejny szum.

Wracam co zmierzch. I wrócę o dwa listopady starszy.
Na wietrze obszernym gasną sino te schody,
Nie broni Cię wieczorne lustro, podobne tarczy,
gdy zapach Twych włosów rozczesuja wczesne chłody.

Wracam co zmierzch. I wrócę w nieoczekiwanych dniach...
Kiedy z nad czerwonego fortu wzbije się zamęt chmur,
to potem fiolet nieba staje w mieszkań szkłach.
Teraz spada na wszystko z kamienia kurtyna mur.

Dlaczego cierpieniem uwielbiam Twoją urodę?
Noc bezsenną rozsada straszna wrzawa tych dzielnic:
wielkie drzewa i dachy zmiął huragan ze wschodu,
by słupami błyskawic oślepić nas śmiertelnie.

zdjęta myśli o strasznej tragedji ludzkości, bezskutecznie walczącej z nieubłaganą Nemezis.

Co jest jednak istotną przyczyną wszystkich tych wydarzeń? Rzecz zupełnie prosta: Nemezis nie jest niczem innem ponad to, że wybrzeże Pacyfiku od Seatle do San Diego zatacza wypukłą krzywiznę, wskutek czego wielkie parowce, małe łodzie i statki pasażerskie muszą płynąć drogą okrężną kilka mil, aby uniknąć niebezpieczeństwa. Ale tych kilka mil oznacza dla właścicieli okrętów tyle a tyle dolarów corocznej straty. Trzeba nietylko więcej opału zużyć, lecz także wskutek przedłużonej podróży oficerowie i załoga dostają więcej płacy, a na wielkich okrętach pasażerskich kilkaset pasażerów otrzymuje po kilka obiadów więcej.

Jest tedy zrozumiałe, że właściciele okrętów, zabezpieczeni wysokiemi stawkami asekuracyjnemi, żądają od swoich kapitanów możliwie największej oszczędności czasu i drogi i że oficerowie wytężają wszystkie siły, aby tym żądaniom podołać. Wzdłuż całego wybrzeża okręty płyną tuż obok skał podwodnych i jakże często zdarza się, że w ciemnościach i mgle lub podczas burzy, podpłyną zbyt blisko! Mnie wydaje się to nadzwyczaj „romantyczną" sytuacją. Mogę sobie wyobrazić, jak wielki artysta tworzy z tego potężny symbol ludzkiej winy. Ale ten artysta musi dość rychło odkryć, że prawie wszystkie czasopisma na tem wybrzeżu wydawane, należą do towarzystwa kolei żelaznych, które jest równocześnie właścicielem linij okrętowych.

Z każdą chwilą zwiększa się kontrola nauki nad przyrodą, a równocześnie z tem i bezpieczeństwo podróży morskiej. Gdyby nie istniała prywatna własność i ślepa walka o zysk, niebezpieczeństwa morza byłyby prawie tylko wspomnieniem dawnych czasów, a nieubłagana Nemezis Conrada, podobnie jak teokracja katolickiego i anglikańskiego kościoła w prochyby się rozsypała, a wiatry roznioslyby ją na cztery strony świata. Czy Conrad byłby z tego zadowolony? Czy może odczułby gniew starca, który swojem dobrem imieniem pokrywał fałszywe domysły? Odpowiada on na to w „Murzynie z załogi Narcyza", powieści napisanej w celu wyszydzenia uczuć altruistycznych i wykazania, że są one czynnikiem niweczącym dyscyplinę i charakter. Jego „agitator" na morzu jest obrzydliwym, małym szczurem lądowym i gdy temu uprzykrzonemu stworzeniu udaje się doprowadzić do buntu biedną załogę, jakże drwi z nich Conrad! Jaki wzniosły sarkazm tkwi w tem.

> Na pokładzie szła dalej wymiana gorzkich słów, podpowiadanych niedorzecznem rozjątrzaniem przeciwko jakiejś niesprawiedliwości, na którą niema sposobu, ale której obecność jest oczywista; poszept w tym duchu trwał wciąż, nawet kiedy Donkin przestawał już mówić. Nasz mały światek dążył swoją krętą, ściśle oznaczoną drogą, unosząc niezadowolenie i niespełnione pragnienia. Mieszkańcy tego światka zaczęli się oddawać posępnej uciesze nieskończonego rozważania i sumiennego oszacowywania swej wartości. Pod wpływem nauk Donkina, wróżącego błogostan, z entuzjazmem roili o czasach, w których każdziutki okręt będzie sobie podróżował po jasnej dali morza, i będzie miał załogę, składającą się z samych doskonale odżywianych, bogatych i zadowolonych żeglarzy.

Conrad jes jednym z wielkich wyrazicieli tragiczności życia, żarliwym wyznawcą pesymizmu. Biada tym, którzy mają odwagę mówić w jego niedzielnych egzortach agnostycznych o jakiejś nadziei dla ludzkości. Biada tym, którzy dopuszczają się największego przestępstwa w sztuce: szczęśliwie kończą powieść. Biada im! Niechaj spadną na nich wszystkie nieszczęśnia na morzu, które są strasliwsze od wszytkich nieszczęść na lądzie. Znajduje się bowiem w królestwie Neptuna, gdzie nie istnieją prawa człowiecze, gdzie niema wolności słowa, prasy, ani zebrań. Wszyscy ci, którzy ośmielają się wyszemrać jakąś myśl optymistyczną, usłyszą to straszne słowo — bunt — i zostają skazani na 6 miesięcy dyscyplinarki.

Upton Sinclair

W 12-stronicowym 21-szym numerze „Sygnałów" z dnia 1 września:

Adam Mickiewicz — Trybuna Ludów, Stanisław Salzman — Tragedja drobnomieszczańska, Leo Moulin — O rexizmie, Leon Kaltenbergh — Socjologja literacka, Anna Kowalska — Rzeczy ostateczne, Józef Jerzy Tygal — Opiekunowie, Herminja Naglerowa — Młodzi, Izydor Berman — Wiersz Rilkego w trzech polskich przekładach, Karol Kuryluk — Napaści nieosobiste. Stanisław Nadzin — Zdrada Grześka Mazura, A. Kowalska — C. F. Ramuz, Leon Lourie — Dwie broszury. Wiersze: Henryka Heinego (w przekładzie N. R. Dobrowolskiego), Andrzeja Wolicy, Lecha Piwowara i Józefa Nachta. Kolumna satyry (K. Baraniecki, J. Bickels, T. Holender, St. J. Lec, J. Nacht, F. Zandler, E. Kaestner).

LÉO MOULIN

TEZY SOCJALISTYCZNEGO HUMANIZMU*)

I. *Socjalistyczny humanizm* to przedewszystkiem rewindykacja wartości duchowych dla podniesienia godności człowieka. I forma i treść różnicują się wedle różnych czasów. Jednakże pojęcia wolności i równości są dla humanizmu zasadnicze, jak również wiara w czyn społeczny, który zapewni im urzeczywistnienie.

II. Każda koncepcja godności ludzkiej zawiera poszukiwania i świadomość Piękna i Prawdy; z tego też powodu doktryna socjalistyczna winna przyswoić sobie pozytywne wartości i prawdy naukowe, które świat jej przynosi i które ją niejako potwierdzają, jednakże żadna dziedzina wiedzy ludzkiej nie może stać się wyłącznym czynnikiem jej działania.

III. Humanizm socjalistyczny wierzy w hierarchję wartości, która pozwala mu osądzać i potępiać rzeczywistość aktualną w imię wartości, które uważa za wyższe. Hierarchja uznaje wyższość wartości ludzkich nad przedmiotami i techniką; kultury nad cywilizacją; solidarności nad egoizmem; dobroci nad wiedzą czystą; działania nad spekulacją umysłową.

IV. Humanizm socjalistyczny różni się od doktryny chrześcijańskiej tem, że jakkolwiek nie zapomina o ograniczonych możliwościach umysłu ludzkiego, jednakże opiera się (poza wartościowaniem moralnem) na pojęciach zdobytych przez umysł. Dlatego też dąży do ograniczania losu i przeznaczenia człowieka do jego życia na ziemi i uznaje to, co w człowieku jest nadludzkiego, wyłącznie jako cel i miarę jego czynów. To ustosunkowanie się (które nie odtrąca żadnej koncepcji socjalizmu religijnego) nie może skłonić walczącego socjalisty, by zadowolił się jakąś epikurejską formą życia. Przeciwnie, poczucie śmierci, tak ostre w naszej epoce, przez swą codzienną obecność skierowuje socjalizm do szukania absolutu i wielkości człowieka. Humanizm socjalistyczny nie jest związany z żadną ideologją antyreligijną.

V. Humanizm socjalistyczny różni się od ortodoksyjnego liberalizmu w tem, że nie jest indywidualistyczny (ale możnaby powiedzieć — personalistyczny), że nie uznaje ideologji XVIII wieku jako nietykalnego dziedzictwa, ani jako ideału, ale jako pęd jednostki do skrajnych tendencyj anarchistycznych, oraz w tem, że kładzie większy nacisk na pojęcie równości niż wolności. Socjalizm nie uznaje czysto abstrakcyjnej i teoretycznej koncepcji człowieka, która jest wytworem XVIII wieku, nie uznaje również odseparowania jednostki ludzkiej od grupy społecznej, poza obrębem której nie jest możliwy jej pełny rozwój.

W szeregu jednak zdobytych czy proklamowanych w 1789 r. dóbr umieszcza pewne wartości, takie jak wolność myśli (wraz z jej skutkami) i oddzielenie kościoła od państwa.

Humanizm socjalistyczny różni się zasadniczo od faszyzmu w tem, co faszyzm ma narodowo-socjalistycznego, oraz tem, że wzbrania się poświęcić jednostkę ludzką dla zbiorowości uznanych jako wyższe naskutek ich trwałości lub „wyjątkowego przeznaczenia", jak Naród, Państwo, Partja.

Na najwyższym szczeblu stawia wartości uniwersalne (greckie, chrześcijańskie i humanistyczne), które jedynie mogą zapewnić powstanie bardziej żywotnych i wyższych form kultury i cywilizacji.

VII. Ogólny sens historycznego stawania się naszego zachodniego świata zawiera się w coraz pełniejszem wyzwalaniu jednostki ludzkiej. Ale wyzwalenie nie następuje dzięki niezmiennej i stałej akumulacji formalnych wolności, lecz wedle rytmu dialektyki zdobywania i porzucania dóbr i wolności indywidualistycznych.

Po długim okresie „porządku"**) (wartości „porządku" mają pierwszeństwo nad wartościami indywidualistycznemi) następuje okres względnie krótki liberalizmu, z tem jednakże, że — z wyjątkiem dekadencji i cofania się — pozytywne elementy jednego okresu nie są unicestwiane w ciągu okresu następnego.

VIII. Ewolucja historyczna zależna jest od warunków ekonomicznych, politycznych, które nakreślają nieprzekraczalne granice każdemu skutecznemu działaniu człowieka.

Ale z drugiej strony nie jesteśmy w stanie poznać istoty wszystkich składników problemu i przewidzieć dokładnie i pewnie przyszłych wydarzeń historycznych.

Jeżeli przeto możemy oznaczyć warunki realizacji socjalizmu, albo przyczyny upadku kapitalizmu, nie jest w naszej mocy wywnioskować z tego, czy zwycięstwo będzie po jednej czy po drugiej stronie.

Zwycięstwo socjalizmu nie jest zatem fatalistyczne.

W tak zakreślonych ramach skuteczność działania indywidualnego (albo działania elit) pozostaje całkowita i może wypowiadać się w pomyślnym albo niepomyślnym sensie normalnego toku wydarzeń.

Każde działanie w mniej lub więcej bezpośredni sposób przyczynia się do powodzenia idei, którą wspiera i propaguje. Żadne poświęcenie nie jest daremne.

IX. Nierealizowanie społeczeństwa socjalistycznego sprzyja powstawaniu i podtrzymaniu ustrojów wrogich, które zmniejszają szanse jego urzeczywistnienia.

Chęć zmniejszenia o godzinę cierpień ludzkości usprawiedliwia wolę rewolucji.

X. Koncepcja życia socjalistycznego nie jest hedonistyczna, ale bohaterska. Daje człowiekowi możność walki, a tem samem zrzucenia z siebie ohydy poniżenia, w którem utrzymuje go obecny ustrój. Walka ta może mu dać zupełne zadowolenie, ponieważ ma cel i nie jest daremna i toczy się przy boku innych ludzi, nie jest więc aktem zwykłej rewolty.

W tem jeszcze pojęciu koncepcja ta jest humanistyczna.

XI. Humanizm socjalistyczny ma ograniczoną wiarę w absolutną wartość postępu ogólnego, a postępu technicznego w szczególności, lecz dobrze zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa cywilizacji produktywistycznej.

Zna ograniczenia i względność, o ile chodzi o bezpośrednią skuteczność swego działania, ale uznaje wartość absolutną, bo moralną, najmniejszych czynów i poświęceń tych, którzy walczą o jego realizację.

XII. Realizacja socjalizmu musi być jednocześnie i natychmiastowa (w woli tych, którzy nad nią pracują) i daleka w tem znaczeniu, że spełnienie się jej można sobie wyobrazić tylko w dalekiej przyszłości, prawie nieosiągalnej myślą.

Dlatego potwierdza koniecznoć zasady rewolucji permanentnej.

XIII. Zasadnicze dla niego pojęcia wolności i równości socjalizm rozumie inaczej, niż liberalizm wieku XVIII.

Pojęcie wolności wtedy ma dla niego znaczenie, jeżeli chodzi o wolność organiczną i pozytywną (jaką jest wolność społeczeństw zrównoważonych), a nie jako puszczenie luzem osobnika na pastwę sił nieodpowiedzialnych i nieludzkich (jak to było w r. 1789).

Pojęcie równości nie oznacza bezwzględnej równości wszystkich ludzi, ale domaga się dla każdego z nich prawa do godności i odpowiedzialności, równowarte ich zdolnościom i możnościom.

Ta koncepcja nie jest sprzeczna z naszą chęcią tworzenia nowych elit i przyznawania im miejsca i odpowiedzialności, na które zasługują, lecz przeciwnie służy jej za podbudowę.

XIV. Socjalizm nie wierzy w pierwotna i zasadniczą dobroć człowieka. I tu również odrzuca iluzje 18 w. Nie popadając w krańcowość pewnych doktryn chrześcijańskich, opiera się chętnie na pesymistycznem ujęciu człowieka i świata, które będąc bliższe prawdy jest równocześnie większym bodźcem dla naszej aktywności. Takie ujęcie świata jest twarde i surowe, ale nadaje ono cechy prawdziwej wielkości wysiłkom, które ludzie czynią dla zdobycia małej poprawy.

XV. Humanizm socjalistyczny nie wierzy w instynkt rewolucyjny mas, ani w ich wartości naturalnie twórcze. Ale przez swoje zagęszczenie i położenie strategiczne w organiźmie społecznym, przez wychowanie polityczne, przez wypadkową swoich interesów życiowych i interesów narodu i świata, i przez odwagę fizyczną, proletarjat winien odegrać rolę elity w tworzeniu przyszłego społeczeństwa.

Stanie się jednak dopiero wówczas godny tego posłannictwa, gdy dokona się w nim samym rewolucja duchowa.

XVI. Zaufanie, nawet umiarkowane, do roli elit i jednostki czyni ze socjalizmu doktryne działalności arystokratycznej w najwyższem tego słowa znaczeniu, niedostępną dla tych, którzy nie dokonali wysiłku (indywidualnego), potrzebnego, by się uwolnić od wszyst-

*) Artykuł jest fragmentem z książki „De Robespierre a Lenine" (Od Robespierre'a do Lenina), napisanej przez Leo Moulina, wybitnego belgijskiego działacza socjalistycznego, współpracownika naszego pisma. Książka ukaże się w listopadzie br. w Edition Labor, Paris — Bruxelles.

**) „Porządek" — franc. „l'ordre" nie ma w polskim odpowiednika (oznacza ustrój feodalny, absolutny, totalny itd.).

TADEUSZ HOLLENDER

PRZESTROGA

Kiedyś, mój chłopcze, dnia któregoś
przestanie ci smakować kawa
i nagle ujrzysz dzień bez brzegu,
nudny jak przestrzeń nieciekawa.

Ojczyste meble cię przerażą,
przerazi zwykły skrzyp podłogi,
a fotografjom i obrazom
ożyje wzrok. I będzie wrogi.

I mrok oblepi cię. I będziesz
miotał się próżno w głębi grząskiej,
gdy wyjdą — z góry, z dołu, z wszedzie
słowa, zakazy, obowiązki.

I może ugniesz się. Zostaniesz.
Noc wtedy świtem się rozrzedzi.
Świat będzie zwykły, śmiech, śniadanie,
zwykłe rozmowy po obiedzie.

Noc już niestraszna, już łaskawa,
zmartwieją oczy fotografjom,
potoczy się dośmiertna sprawa,
strachy jej zmącić nie potrafią.

Chyba sam sobie na przeszkodzie
pójdziesz poszukać z twarzą bladą
ścieżek, po których nikt nie chodził,
ławek, na których nikt nie siadał.

I wtedy dojrzysz stamtąd, z góry,
gdy spalisz poza sobą mosty,
że tu są jeszcze twardsze mury,
których nie skruszysz, gdyś pozostał.

kich konformizmów („burżuazyjnych“ lub „rewolucyjnych“). Każda rewolucja wywołuje wybuch świadomego indywidualizmu w masach, które są o tyle tylko rewolucyjne, o ile przez swą wolę, decyzję i szybkość działania, okazują się zdolne wziąć na siebie różnorodne i najbardziej bohaterskie obowiązki, jeśli działają jako elita.

XVII. Każda rewolucja jest dziełem większości, nawet jeśli objęcie władzy ma charakter powstania.

Każdy rząd rewolucyjny staje się z konieczności dziełem mniejszości.

Przez większość rozumiemy grupę najliczniejszą i najbardziej jednolitą w łonie aktywnych sił kraju. Ta koncepcja wyłącza więc równocześnie teorje blankistyczne: wzięcie władzy przez mniejszości działające, jak również fetyszyzm arytmetycznej większości.

W tych warunkach rewolucja jest sztuką.

Léo Moulin

Z SATYRY

O „DZIENNIKU POLSKIM“

Motto: Pisz, pisz Piszczkowski
O potędze żydowskiej,
Za twoim przewądem
Połączym się z rządem!

Jest dzienników we Lwowie
i czasopism bez liku,
lecz chcę mówić, panowie,
dziś o „Polskim Dzienniku“..
„Dziennik Polski“ dla Polski
zasługuje się walnie,
„Dziennik Polski“ jest polski,
rzekłbym — konjunkturalnie.
„Dziennik Polski“ jest polski,
narodowy, państwowy,
piszczkowski, apostolski,
nieugięty, stahlowy...
Nakład blisko tysięcy
trzech, powiedzmy, dociera,
czytelników mniejwięcej
tyleż, chociaż bez zera.
Spiskom wbrew i konszachtom
rżnie o naszych wybrykach,
bo „Sygnały“ są płachtą
na hrabyków z „Dziennika“.
Więc się „Dziennik“ użala —
Moskwę nam wypomina,
że ja ciągle od Stahla
wolę choćby Stalina.
Bo Stahl, drodzy panowie,
tak się ma do Stalina,
jak się lew, że tak powiem,
ma znów do — lwowianina.
Narodowe grzmią struny
codzień ze szpalt „Dziennika“.
przeciw mocom komuny
Stahl używa Hrabyka.
Wieczny docent Piszczkowski
wiecznie modli się za nas.
przeciw mocy żydowskiej
zaś używa Freudmana.
I choć nakład nie rośnie,
czas i forsa upływa,
„Dziennik Polski“ radośnie
wciąż używa, używa!...

— — — — — — — — — —

Jakiż morał wynika
z tych wierszyków niewielu?
— Używajmy „Dziennika“
do właściwych mu celów.

TADEUSZ HOLLENDER

ZARAZA

Książka Józeph'a Peyre'ego: Szturmowiec (L'homme de chor Grasset 1936) opowiada losy walk wokół katedry w Oviedo. Z tragicznego filmu czerwonego i żółto-fioletowo-czerwonego epizod. Twardo młotem wykuty i rozsadzony dynamitem, słowami bezlitosnemi i poszarpanemi zdaniami rzucony jest przed oczy los garstki górników z Arenales, a przedewszystkiem szefa szturmówki Le Morenu.

Le Morenu zniekształconemi rękami od młota i dynamitu chwyta za mauzer i prowadzi swoich towarzyszy Rubina i Andaluzyjczyka Parritę, nie bardzo się oglądając, kto za nim idzie najpierw na oberżę, gdzie zatarasowała się gwardja cywilna z Javierem, sierżantem na czele. Żona sierżanta, młoda Noli, jest siostrą Le Morenu. Odmawia wyjść z oberży. Le Morenu prowadzi atak. Ginie Javier i Noli.

Śmierć siostry spada ciężarem na myśli Le Morenu, który prowadzi zakładnika, inżyniera Amelio, do więzienia. Inżynier kusi jego litość opowiadaniem o starej, chorej matce. Patrol przejmuje zakładnika w chwili, kiedy Le Morenu zgnębiony wyrzutami sumienia waha się, czy nie wypuścić zakładnika.

W starej z trzynastego wieku katedrze schronili się kanonicy i wojska rebeljańskie. Zza kamiennej koronki strzelają bez przerwy rebeljanci, siejąc śmierć na placu Katedralnym.

Dowódcy czerwonych wojsk wahają się, czy nie wezwać samolotów z Leon, by zbombardowały katedrę siejącą śmierć. — Nie chcemy być Niemcami, którym świat nie wybaczy nigdy zniszczenia katedry w Reims. — Zjawiają się jednak samoloty; ludność wybiega na ulice pozdrawia czerwone barwy na skrzydłach. Niektórzy proponują, by z ciał ludzkich utworzyć napis na placu katedry, pozdrawiające czerwonych orłów. Samoloty zniżają się i... rzucają bomby w tłum.

Le Morenu patroluje w nocy ulice i chodzi za zakładnikami. Ocala jednego księdza. Jest to jakby okup dany losowi za siostrę. Ale przyłapuje go młody komunista i wydrwiwa w obecności towarzyszy. Le Morenu jest starym socjalistą, człowiekiem, dla którego wartości moralne stoją nad innemi. Le Morenu idzie w pojedynkę z własnej woli tam, gdzie nikt nie oceni jego bohaterstwa, uczciwości i ofiary. Spotyka młodą dziewczynę Marife, która jest duchowym wodzem ludności. Niema romansu, ale jakby odetchnięcie w ludzkiej wiecznej dobroci naprzekór krwi, która dookoła cuchnie.

Le Morenu ranny dostaje się do szpitala. Jest świadkiem najokropniejszej ohydy: ciekawości zdrowych ludzi, którzy pchają się do stołu operacyjnego, by obserwować, jak się kraje rannych. Zastępuje to im walkę byków.

Le Morenu ranny ucieka ze szpitala. Wojska czerwone są rozbite, cofają się. Ranni, ginący z pragnienia, strzegą wody dla swego dowódcy Rafaela Serra. Le Morenu dowiaduje się, że Marife zginęła, broniąc z kulomiotu beznadziejnej pozycji. Le Morenu, śmiertelnie ranny, chroni się w góry, gdzie nocą wilki napadają na trzody.

W pospiesznem tempie nieupiękniona historja wpada w serce czytającego i zakłóca jego rytm.

Le Morenu, dzielny, spracowany, poraniony, samotny Le Morenu nie wie, że jest bohaterem. Ciągle jeszcze się kaja i ogląda na katedrę, na ludzi. Nie wie również, że samoloty są włoskie, a wojsko bratnio-wrogie, utrzymywane za weksle sygnowane przez Hamburg. Nie jest uczonym człowiekiem i nie zna się na polityce. Tę o wiele lepiej znają zamknięci w koronkowych balustradach purpurowi władcy doniedawnej Hiszpanji.

Le Morenu wie tylko, że na żyznych jak raj polach Andaluzji żyją głodzeni na śmierć rolnicy, że życia nie uchwycił zmiażdżonemi palcami, że dowódcy spierają się przy licytacji doktryn, podczas kiedy wagony wiozące rannych zostawiają lepką, czerwoną drogę.

Jest to biuletyn, powieść-reportaż, niesensacyjna mimo aktualności. Czyta się ją opornie. Zamyka, pochylając głowę.

Anna Kowalska

Z KSIĄŻEK

Jan Brzoza: „Dzieci“ Lwów—Warszawa — Książnica-Atlas.

Po niezapomnianej książce Haliny Górskiej „Nad czarna wodą“ jest to pierwsza udała próba przedstawienia życia młodzieży ulicznej. Mamy tu w porządku chronologicznym notowane dzieje kilku małych bohaterów i ich rodzin. W beznamiętnem opowiadaniu pulsuje najciekawsze życie — życie, przerażające smutkiem, przygnębiające beznadziejnością. Poza partjami refleksyjno-opisowemi, na których się autor „zaginał“, cała powieść jest naprawdę zjawiskiem niecodziennem i godnem poznania.

J. T. Huppert: Stalowym Szlakiem, Warszawa, Gebethner i Wolff.

Opowiadanie o chłopcu, który własnemi siłami dorabia się upragnionego stanowiska. Anegdota powieści zgrabna i interesująca. Partje dialogowe i opisowe prowadzone żywo, rysunki postaci, z których Franek i pan Wawrzynek mają pretensje do charakterów, kreślone śmiało i ciekawie. Korzystny dla całości jest również dyskretnie zaznaczony regjonalizm.

Janina Osińska: W pięknej Rumunji, Warszawa, Gebethner i Wolff.

Fabuła opowiadania jest pretekstem, pod którym oprowadza się młodocianego czytelnika po pięknej Rumunji. W czasie tej wędrówki poznaje on kraj i lud, jego dzieje, kulturę i literaturę. Nawet starszy czytelnik znajdzie w tej niewielkiej książeczce wiele miejsc ciekawych. Końcowe sensacyjne chwyty fabularne raczej szkodzą poprawnej i pięknym językiem napisanej całości. Ale „młodszym ludziom“ dać ją warto, tyle w niej pogody, spokoju i dobrego serca.

Tadeusz Banaś

OD WYDAWNICTWA

Dnia 1 października br. Lwowskie Starostwo Grodzkie na zasadzie art. 11 ust. 1 ustawy prasowej z 17. XII. 1862 zawiesiło „Sygnały“, „z powodu nieprzestrzegania zgłoszonych perjodycznych terminów ukazywania się“.

Dnia 10-go października br. Starostwo przyjęło „do zatwierdzającej wiadomości doniesienie o nieprzewidzianych przez wydawnictwo przeszkodach technicznych, uniemożliwiających terminowe przedłożenie bieżących egzemplarzy obowiązkowych czasopisma „Sygnały“ przy równoczesnym ponownym zgłoszeniu dalszego wydawania tego miesięcznika“.

Wobec powyższego nastąpiło dwutygodniowe opóźnienie w wydaniu niniejszego numeru „Sygnałów“.

Następny (23) ukaże się dnia 1-go listopada br.

Sprawa zawieszenia „Sygnałów“ wywołała silny rezonans w prasie i w opinji publicznej. Omówimy ją obszernie w numerze najbliższym.

OSTRZEŻENIE

Ostrzegamy, że wszelkie kłamstwa, oszczerstwa i denuncjacje, rozgłaszane ustnie lub drukiem o „Sygnałach“ lub o ich współpracownikach, będziemy ścigać sądownie.

Wydawnictwo „Sygnałów“

KORESPONDENCJA

E. Bl. Warszawa. Wierszy nie będziemy drukować.

W. B. Warszawa. Artykuł drukujemy. Prosimy o dalszą współpracę. Prosimy również o podanie dokładnego adresu.

1-szy z Jasła. Za artykuł dziękujemy. Do druku, niestety, nie nadaje się. Nie można przecież w jednej pracy poruszyć wszystkie zagadnienia życia i wiedzy ludzkiej. Pracować warto.

R. E. Kraków. Wiersze nie do druku. Dużo czytać i pracować.

Haef. Warszawa. Wierszy nie będziemy drukować. Prosimy o inne, lepsze.

B. G. K. Puławy. Dziękujemy. Przesłanych wierszy drukować nie będziemy. Prosimy o inne.

W. J. Wilno. Dziękujemy serdecznie za miłe słowa. Życzymy powodzenia w Waszej pracy. Przesłane wiersze nie nadają się jeszcze do druku. Należy bardzo dużo czytać i pracować nad sobą. Prosimy o pamięć. Przesyłamy serdeczne pozdrowienia. Wspomniane przez Was pisma już nie wychodzą — z różnych przyczyn.

J. K. Warszawa. Dziekujemy za artykuł. Niestety, w numerze lipcowym (19) drukowaliśmy już artykuł o Barbussie pióra A. Wyleżyńskiej. Prosimy o inne Wasze prace.

L. L. Łódź. Dziękujemy. Drukujemy. Prosimy o dalszą współpracę.

St. M. Drohobycz. Za życzenia serdecznie dziękujemy. Wiersze narazie nie do druku. Prosimy o większy wybór. Zasyłamy pozdrowienia.

St. N. Warszawa. Dziękujemy za współpracę. Prosimy o nawiązanie bliższego kontaktu.

Zb. O. Warszawa. Nie będziemy drukować.

K. St. „Chróścianych krzyży“ nie umieścimy.

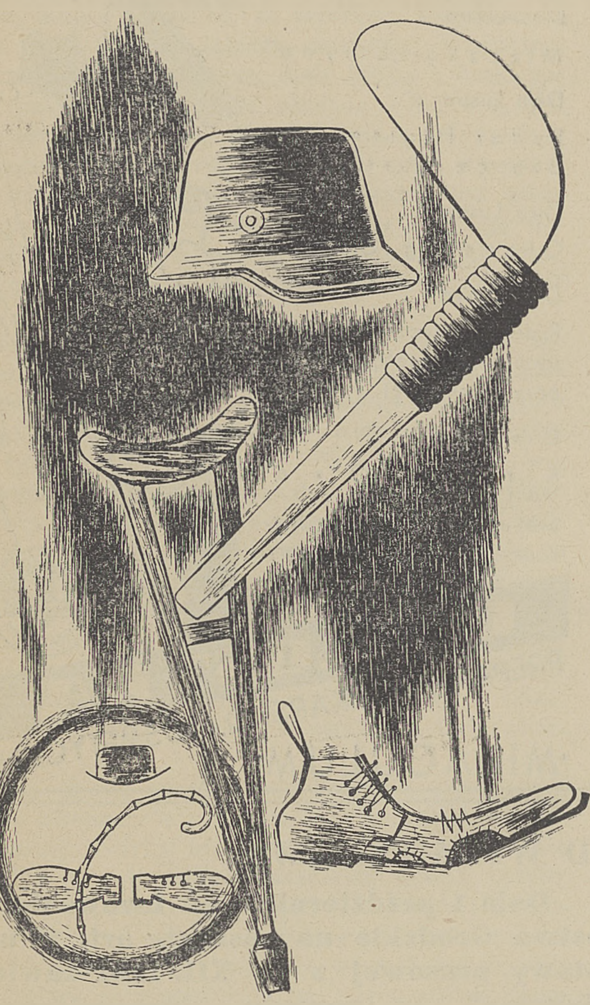
I. W. Kraków. Nie będziemy drukować.

W. M. Kraków. Nie do druku. Nie podejmujemy się oceny wierszy.

D. M. W. Stanisławów. Feljeton nadaje się do dziennika.

„SYGNAŁY“
należy czytać
prenumerować
rozpowszechniać

KOLUMNA SATYRY



rys. K. Baraniecki

DZISIEJSZE CZASY

SEN PAŃSTWOWCA

Ruszyło mnie sumienie:
Państwo, myślę, dla niego
Ja od jutra się zmienię,
Dosyć tego dobrego.

I nazajutrz od rana
Wszcząłem życia tryb nowy,
Więc: modlitwa poranna,
Potem okrzyk państwowy,

Chleb, kakao (na wodzie...)
A godzina to która?
Boże, ósma dochodzi.
— Ojcze, ojcze do biura!

Bo to miałem na względzie,
— Niech sam premjer się dowie —
On nie może być wszędzie,
Więc pomogę rządowi.

I na miasto wychodzę,
(Sam nie jestem zajęty),
Na ulicy zaś, drodzy,
Męty i elemęty.

Więc przemowę wygłaszam:
„Dość miazmatów! Do pracy!
Ta ojczyzna, ta nasza“ —
Zapłakali rodacy.

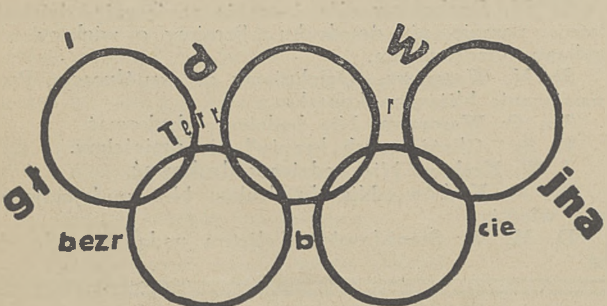
„Nie pomoże płakanie,
— Wołam, — płakać to mało.
Tak podciągnąć, kochani,
By aż w krzyżach trzeszczało.

Wtedy kraj się odrodzi.
Ej, za mordę wziąć biedę!“
Wtem policjant podchodzi:
— „A pan co tu za jeden?“

Patrzę — ludzi gromada.
— „Uczę krzepy i woli!“
A on na to powiada:
— „To pan ze mną pozwoli!“
— — — — — — — —

I sen minął. Boleśnie
Uderzyłem się w głowę...
— Czasem lepiej jest we śnie
Zacząć życie państwowe.

TADEUSZ HOLLENDER



rys. K. Baraniecki

OLIMPJADA TRWA...

NIEMIECKA PARTJA JEDNOŚCI

Gdy szał polityczny wzbierał
Miller Max też poszedł wgórę,
więc założył partję, w której
pragnął wszystkich mieć Millerów.

Miller kochał wszystkie klasy,
polityczne zniósł poglądy,
bo jednego tylko żądał:
Mieć z Millerów jedną masę.

Program jego z siłą brzmiał:
„Pokój z wojną niech odżywa,
wsteczność — wiwat! postęp — wiwat!
Pracy świat i kapitał!

Wolny handel, co nie zmienia,
że ochronne będą cła.
Cesarz i republika
to podstawy do rządzenia!“

Każdy Miller poszedł z nim.
A wnet innych reszta wszystka
pozmieniała swe nazwiska.
Nowa partja wiodła prym.

Rosła, mimo błędów wielu.
W krótkim czasie kurs się zmienia.
Po ostatniem przesileniu
dziesięć tek Millerzy mieli.

Większość rzekła, jak należy:
„Kto nie Miller — zmieniać front.
kto nie zmienił nazwisk — wont,
odkąd górą są Millerzy!“

Od Kłajpedy po Ren wnet
święcą Niemiec transformację.
W starem Aachen — koronacja.
Miller Pierwszy na tron wszedł.

Grzmią moździerze, płyną gwardje.
Ale minął szczęsny sen.
Wstał niejaki Möller. Ten
nagle zrobił — nową partję.

ERICH KAESTNER
przełożył TADEUSZ HOLLENDER

PEIPEROWI DO SZTAMBUCHA

Jakże szczęśliwy jest Norwid,
że śpi snem wiecznym i twardym,
choć czyta go „awangarda“
nie czyta on „awangardy“.

PERJODYK

Jedno nas dzisiaj gnębi:
czy Tadzio nie jest dziewczyną,
czy mu co miesiąc nie wraca
„czas, który minął“.

ALMIR

GEOGRAFJA

Pińsk oraz Poznań — dwa są miasta,
które zobaczyć chciałbym jeszcze,
choć i tam pewnie nucą Własta —
proza, policja, wiatr i deszcze.

Poznań — gród czysty, europejski,
dezynfekcyjnie odżydzony,
Pińsk znowu brudny i jewrejski
kompromituje pińskie strony.

W Poznaniu asfalt i buraki,
i Artur Marja jest Swinarski;
W tych wszystkich względach Pińsk ma braki,
jest bez-swinarski i tatarski.

Endecy tam, tu — Poleszucy,
oba narody z tego znane,
że dosyć obce są nauce,
zaś stan ich mózgów jest podstanem.

Lecz oba charakterystyczne.
Na pół germańsko, pół mongolsko,
pozorna przepaść, lecz te styczne
są właśnie tobą, moja Polsko,

Francjo Północy, niedomyta,
bez dróg, bez wina, bez humoru,
lecz zato z Pińskiem, — Brevis vita,
— stultitia longa Polonorum.

Pińsk — Poznań, w środku pada deszczyk,
przemysł, kobiety i sanacja
i nowy — z Gdyni do Zaleszczyk —
grzmi szlagier — dziś motoryzacja!

Aż całym środkiem zahuczało:
— ciebie, Poznaniu! ciebie, Pińsku!
ślubujem bronić przed nawałą
wschodnią, zachodnią i murzyńską!

Wojskowe marsze z kina krzyczą,
Pat prezentuje nową rewję
w Poznaniu, w Pińsku, w Drohobyczu...
A ja zasępiam się, bo nie wiem...

bo nie wiem, czy tak długo można...
bo wiem, że można bardzo długo
czekać, aż taki Pińsk i Poznań...
— — — — — — — — — —

WLAZŁ KOTEK NA PŁOTEK I MRUGA...

TADEUSZ HOLLENDER

ZABAWKI MADE IN GERMANY



proj. T. Hollender rys. J. Bickels

— Tatusiu, a czy są gazy trujące dla dzieci?

Redaktor i wydawca: KAROL KURYLUK
Redakcja i administracja: LWÓW, UL. JAKÓBA STRZEMIĘ 8
codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 18—19
PRENUMERATA: roczna 5 zł., półroczna 2·60 zł., kwartalna 1·40 zł.
Wpłacać przekazami rozrachunkowemi LWÓW Nr. 1

Redaktor odpowiedzialny: TADEUSZ BANAŚ. Z drukarni „SŁOWA POLSKIEGO“, Lwów, Zimorowicza 15.